Cena 6 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II. LUBLIN, 15 CZERWCA 1946 R. Nr 12

Prof. Dr ANDRZEJ WOJTKOWSKI

STANOWISKO DZIEJOWE TADEUSZA KOŚCIUSZKI

1. SPÓR O KOŚCIUSZKĘ, KSIĘCIA JÓZEFA I DĄBROWSKIEGO

W setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, w r. 1894, ukazała się pierwsza naukowa monografia o Naczelniku, pióra Tadeusza Korzona. Biografia ta z konieczność musiała mówić także o księciu Józefie, który był zwierzchnikiem Kościuszki w wojnie w r. 1792, i o późniejszym wodzu legionów, Dąbrowskim, który w powstaniu 1794 r. odegrał tak wybitną i dodatnią rolę. Badacze epoki Napoleońskiej jednakże uznali, że Korzon wyolbrzymił postać Kościuszki, kosztem księcia Józefa i Dąbrowskiego. Powstały stąd długotrwałe spory i polemiki naukowe, których pozytywnym wynikiem były znakomite monografie Adama Skałkowskiego o Dąbrowskim i księciu Józefie oraz monografia o księciu Józefie i trzytomowe dzieło p. t. „Napoleon a Polska"— Szymona Askenazego. Nie często zdarza się, żeby polemiki między badaczami naukowymi wydały tak piękne owoce.

2. OBCHODY A PRAWDA DZIEJOWA

Spory dotyczące naszych bohaterów narodowych z końca XVIII i początku XIX wieku opisał niezmiernie zajmująco i scharakteryzował nie żyjący już profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wacław Sobieski, w referacie przedstawionym na czwartym zjeździe historyków polskich w Poznaniu w r. 1925 p. t. „Zagadnienia Kościuszkowskie" z podtytułem brzmiącym: „Obchody a prawda dziejowa".

Zjazd poznański odbywał się w 900 rocznicę koronacji i zgonu króla Bolesława Chrobrego. Wywołane przez ową rocznicę publikacje nasunęły Sobieskiemu pytanie, „czy w ogóle rocznice, obchody, manifestacje pomagają, czy też raczej szkodzą spokojnej, trzeźwej, bezstronnej pracy dziejopisarskiej". Pytanie takie nasunie się niewątpliwie niejednemu z okazji tegorocznych publikacji jubileuszowych, a było ono uprawnione zwłaszcza w stosunku do publikacyj z r. 1917, kiedy to naród w nadzwyczajnym uniesieniu patriotycznym i z uwielbieniem obchodził setną rocznicę zgonu Kościuszki.

3. ZA CO POWINNIŚMY KOCHAĆ KOŚCIUSZKĘ

Pojawiła się wówczas wśród wielu innych broszur także książeczka prof. Henryka Mościckiego pod znamiennym tytułem: „Za co powinniśmy kochać Kościuszkę?", dowodzącym, że do postaci Kościuszki podchodzono wówczas przede wszystkim ze strony uczuciowej. Ale i takie sformułowanie zagadnienia może być użyteczne, jeżeli w wyniku doprowadzi do wykrycia istotnych i nieprzemijających wartości w postaci i czynach bohatera; da jednakże mniej sympatyczne albo zgoła ujemne strony charakteru i działalności. A od tych nikt ze śmiertelnych nie jest wolny. Co wolno czynić autorom popularnych żywotów świętych, tego nie wolno czynić autorom biografii naukowych.

Według prof. Mościckiego powinniśmy Kościuszkę kochać 1) za „znamienny rys bezinteresownego służenia sprawie publicznej"; 2) za jego pragnienie, „ażeby być... użytecznym Ojczyźnie naszej i wypłacić się jej z obowiązku obywatelstwa"; 3) za to, „że żył ideałami ludzkości, a nic nie uronił, nie zatracił ze swojej odrębności plemiennej; że pierwszy polskie wytężył ramię w obronie najszczytniejszych dostojeństw człowieka"; 4) „za przyjętą odpowiedzialność wobec sądu historii, za mężne stawienie się przemocy, za czyny zbawiające Ducha"; 5) „za podniesienie serc i rąk spięcie na odrodzenie, na moc, na trwanie"; i wreszcie 6) „za to, że jest symbolem wolnej i całej Ojczyzny".

Takimi to namaszczonymi sformułowaniami wzruszano się u nas przed laty 30. Nie wszystkie jednakże publikacje ówczesne uderzają w tak górne tony. Tadeusz Korzon wydał wówczas swoje „Vademecum" Kościuszkowskie prostujące wiele błędów literatury jubileuszowej oraz książeczkę p. t. „Przedśmiertna męczarnia Kościuszki i żal pozgonny narodu". Znakomity historyk wsi polskiej, Ignacy Tadeusz Baranowski, wydał uniwersał połaniecki i całkowicie zapomniane, choć już w r. 1871 w Poznaniu drukiem ogłoszone „Napomknienia względem poprawy losu włościan", o 20 lat późniejsze od uniwersału.

Słuszne są zatem słowa Wacława Sobieskiego: „że rocznice mają swe złe, ale i dobre strony", skoro „obok śmiecia i bezwartościowych broszurek" wywołują także poważne publikacje i skoro „historyków bardziej zapalczych" pobudzają „do zbytniego uwielbienia i gloryfikacji bohatera", po czym inni wielkość bohatera sprowadzają do właściwych granic.

4. KOŚCIUSZKO W FORMUŁACH HISTORYKÓW

Zgodnie z tym „prawem" dokonywano badań nad Kościuszką od r. 1894 począwszy. Czy od tego czasu dano ostateczną odpowiedź na pytanie, jakie jest stanowisko dziejowe Kościuszki? Według Korzona streszcza się ono w tym, że Kościuszko był głównym w Polsce bojownikiem idei „oporu swojszczyzny przeciw cudzoziemczyźnie", a więc bojownikiem idei, której brak był, według Korzona, powodem upadku Polski. Stanąwszy na takim stanowisku, Korzon potępił także cudzoziemszczyznę, która w osobie Napoleona tak potężnie zaciążyła na Polsce. Konsekwentnie idąc dalej, napiętnował także legiony Dąbrowskiego za to, że się wysługiwały obcemu państwu i obcemu mocarzowi, że się dopuściły zbrodni odstępstwa względem Kościuszki. Przeciwko tym krzywdzącym zarzutom wystąpił Szymon Askenazy wraz z swoimi uczniami, z których najwybitniejszym jest prof. Adam Skałkowski. Askenazy próbował dokonać sprawiedliwego podziału zasług pomiędzy naszych trzech bohaterów narodowych, pisząc, że „jeśli Kościuszko wcielił najwyższą ideę cnoty narodowej, to przecież obok niego jest miejsce dla księcia Józefa wcielającego narodowy honor i dla Dąbrowskiego wcielającego zasadę ocalenia publicznego". Skałkowski zaś przyznał Kościuszce, że lud polski bez Racławic i manifestu połanieckiego, a mieszczaństwo bez insurekcji Krakowa, Warszawy i Wilna miałyby zbyt luźny związek z dawną Polską szlachecką. Wreszcie na kilka lat przed wybuchem ostatniej wojny stwierdził tenże uczony, że Kościuszko sprawował „dyktaturę moralną na emigracji" wpływając wychowawczo także na legiony Dąbrowskiego.



Czy to jest wszystko, co można dziś powiedzieć o stanowisku dziejowym Kościuszki? Sformułowanie Korzona, że Kościuszko był głównym w Polsce bojownikiem idei „oporu swojszczyzny przeciw cudzoziemczyźnie" zostało zakwestionowane nawet przez Wacława Sobieskiego, a więc uczonego bezpośrednio niezaangażowanego w sporze o Kościuszkę, księcia Józefa i Dąbrowskiego, jako teoria **a priori** i z zewnątrz wniesiona do badań nad Kościuszką: syntetyczne ujęcia powinny pojawiać się nie na początku, lecz dopiero na końcu badań jako ich wynik ostateczny.

Można natomiast przyjąć sformułowania Askenazego i Skałkowskiego jako niepodejrzane, bo pochodzące nie od wielbicieli Kościuszki, lecz raczej jego przeciwników, mianowicie że był on wcieleniem „najwyższej idei cnoty narodowej", że lud i mieszczaństwo związał z dawną Polską szlachecką, że wreszcie był dyktatorem moralnym emigracji i wychowawcą legionów.

5. KOŚCIUSZKO ZAMKNIĘCIEM DAWNEJ I OTWARCIEM NOWEJ EPOKI W DZIEJACH POLSKI

Jest to już bardzo wiele, chociaż nie jest jeszcze wszystkim. Chcąc określić stanowisko dziejowe postaci tej miary, co Kościuszko, trzeba sobie zadać pytanie, co w nim było z przeszłości i razem z nim zginęło, a co w nim prowadziło w przyszłość i wskazywało drogę następnym pokoleniom, wreszcie jakimi wartościami jego ducha buduje się dziś jeszcze nie tylko naród polski, ale i ludzkość cała.

a) Kościuszko a walki o niepodległość.

Cechą najbardziej charakterystyczną epoki porozbiorowej są nasze walki o niepodległość. Według manifestu Polskiego Towarzystwa Demokratycznego z r. 1836, walki te zapoczątkowała konfederacja barska. Idea powstania była czymś nowym, ale sposoby jej urzeczywistnienia były staropolskie, konfederackie. W ten sposób pierwiastki nowe były pomieszane ze starymi. A jak pod tym względem przedstawia się insurekcja Kościuszkowska, na to dał odpowiedź już Joachim Lelewel w swym „Porównaniu dwu powstań narodu polskiego 1794 i 1830—1831", wydrukowanym w Paryżu w r. 1840. Wykazuje on, że skoro konstytucja 3-go maja zakazała konfederacyj, porwanie się narodu do broni w r. 1794 nie mogło być nazwane konfederacją, lecz „powstaniem, insurekcją". Ale sama nazwa nie decyduje jeszcze o istocie samego ruchu. Był on w rzeczywistości konfederacją. Powstanie Kościuszkowskie, wywodzi Lelewel, podniesione było „pod świeżą jeszcze pamięcią" niedawno dopiero zniesionych starych urządzeń Rzeczypospolitej. „Stanęło więc pod hasłem insurekcji w formach konfederackich z tą tylko różnicą, że inne przybierało tytuły, że powołany czyli obrany Naczelnik połączył w sobie władzę marszałka i regimentarza". Miejsce Generalności Konfederacji zajęła Rada Najwyższa Narodowa. A więc i tu mamy pierwiastki stare, przezwyciężone już oficjalnie, zniesione i zakazane, połączone z pierwiastkami nowymi, wskazującymi w przyszłość porozbiorową.

b) Kościuszko a udział mieszczan i chłopów w powstaniu.

Natomiast pod względem składu społecznego uczestników insurekcja Kościuszkowska była całkowicie zaprzeczeniem przeszłości, zupełną, niebywałą w Polsce nowością. Była to mianowicie, jak pisze Lelewel: „insurekcja mieszczańska: nikt się wtedy szlachcicem nazwać nie ważył". „Stan mieszczański był kontent, a w stolicach bił się na zabój; prócz wojska było drugie tyle nieumundurowanych wojaków, którzy wiele dokazywali". „Sam Naczelnik, kończy Lelewel ten rozdział, zamierzał coś więcej, gotował się do wyzwolenia włościan: lecz sprzeczny duch wstrzymał go od tego". Ale, jak wiadomo, i włościanie wzięli udział w powstaniu i ten udział był czymś tak niesłychanie nowym w historii naszej, że przesłonił całkowicie o wiele ważniejszy dla przebiegu powstania udział mieszczan. Dziś jeszcze w mniemaniu warstw najszerszych powstanie Kościuszkowskie — to Racławice, to szturm chłopskich kosynierów i pikinierów na armaty nieprzyjacielskie, to wreszcie uniwersał połaniecki przynoszący pewne ulgi chłopom. W każdym razie scementowanie w jedną całość narodo-

(ciąg dalszy na str. 2-ej)

STANOWISKO DZIEJOWE TADEUSZA KOŚCIUSZKI

(dokończenie ze str. 1-ej)

wą wszystkich warstw społecznych, mogące się dokonać tylko wspólnym przelewaniem krwi w walce za Polskę, w powstaniu kościuszkowskim posunęło się bardzo znacznie naprzód. A to zagadnienie wchodzi już całkowicie w zakres epoki nowej.

c) Kościuszko a wyzwolenie ludu.

Zupełnie nową ideę, którą później przyswoiła sobie demokracja polska kładąc ją jako fundament przygotowań do powstania demokratycznego zamierzonego na rok 1846, wypowiedział Kościuszko w piśmie do Krakowskiej Komisji Porządkowej z 7 maja 1794 r.: „Najhaniebniejszą by było rzeczą dla Polaków bijących się o wolność, żeby lud u nich zostawał w gorszym stanie, niżeli znajduje się w monarchicznych nawet rządach: ktoby opacznie te myśli moje rozumiał, ten nie zna prawideł wolności, ani potrzeb ojczyzny: wolność może być obronioną tylko ręką ludzi wolnych, albo doznających sprawiedliwości i opieki rządowej".

A więc już nie, jak dawniej, r o b u r piersi szlacheckich, ale lud wolny może obronić wolność. A to, co Kościuszko pisał w maju 1794 r., nie jest tylko chwilowym przebłyskiem podyktowanym aktualną potrzebą. Nie, myśl ta nurtowała w nim już dawno, a wypowiedział ją po raz pierwszy w r. 1789 w „Uwagach" nad sejmowym projektem zreformowania wojskowości. Wypowiada się w nich Kościuszko „stanowczo za powoływaniem pod broń wszystkich warstw społecznych". „Chłopi, ci drobni rolnicy, których pisarze - ekonomiści owej doby uważają za jedyną klasę produkcyjną (fizjokraci), za podstawę każdego społeczeństwa, powinni, według ówczesnego projektu Kościuszki, należeć do milicji krajowej tworząc wespół z mieszczanami drugi szereg każdego regimentu" — tak streszcza wywody Kościuszki Ignacy Baranowski.

A gdy objął władzę najwyższą w narodzie, wówczas za swój najpierwszy obowiązek uznał „wzbudzić miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że ojczyznę mają". „Do tego można było dojść jedynie przez uwolnienie chłopów z poddaństwa, zmniejszenie pańszczyzn..., wreszcie zorganizowanie opieki prawnej. Do wprowadzenia definitywnych zarządzeń w tej mierze nie uprawniał Naczelnika akt powstania narodowego z 24 marca 1794 r. Wyraźnie tam zastrzeżono, że ani on, ani władza powstańcza nie mają prawa „do uchwalania żadnych takowych aktów, które by stanowiły k o n s t y t u c j ę narodową". Wszystkie zatem zarządzenia Kościuszki w obronie chłopów mogły mieć charakter tylko tymczasowy. Najpierw wydał zarządzenia w interesie tych chłopów, którzy udali się do powstania. W odezwie z 19 kwietnia wydanej z obozu pod Bosutowem rozkazał, aby chłopi „do walczenia z nieprzyjaciółmi wezwani, od robocizn wolni byli przez cały czas zostawania w służbie wojskowej". Rozporządzenie to uzupełnił uniwersałem z 2 maja z obozu pod Winiarami. Ale i ten uniwersał dotyczy tych tylko chłopów, którzy służyli w szeregach powstańczych. Tym „przynajmniej dzień jeden w tygodniu pańszczyzny" miał być darowany. „A gromady w pospolitym ruszeniu, czyli obławy na nieprzyjaciela prowadzone" miały być od robocizny wolne przez cały czas bytności ich w obozie. „Ten jest, kończy Naczelnik, sposób przywiązania ludu do sprawy publicznej i ochronienia go od sideł nieprzyjacielskich".

Wreszcie uniwersał połaniecki z 7 maja, stanowiący, jak pisze Ignacy Tadeusz Baranowski, „jak gdyby most złoty pomiędzy Polską dzisiejszą demokratyczną a dawną Rzeczpospolitą szlachecką", powtórzywszy to, co było zawarte w dwóch poprzednich uniwersałach, głosił zupełne uwolnienie chłopów z poddaństwa, ale nie ogłosił uwłaszczenia; wprowadził natomiast instytucję dozorów i dozorców, do których mieli prawa zwracać się uciskani chłopi, a także i dwory w razie nieposłuszeństwa z ich strony. Uniwersał połaniecki uznali zaborcy za bardzo niebezpieczny dla siebie, bo mógł im przeciwstawić już nie tylko jedną warstwę, ale cały zespolony naród. Wobec tego w manifestach kasowali przeszłe, jak pisali, uniwersały Kościuszki, które ich zdaniem „nie miały innego celu jak tylko kraj w nieporządek wprowadzić i w męczącą zawikłać wojnę". Uniwersał połaniecki był zdaniem Baranowskiego „wyłącznie dziełem mądrości politycznej Kościuszki; być może, iż sekretarz co najwyżej wygładził styl, w którym wódz nigdy nie celował".

W „Napomknieniach względem poprawy losu włościan", napisanych w lat 20 po uniwersale połanieckim, Kościuszko żądał już znacznie więcej dla chłopów, mianowicie oświaty i ziemi na własność oraz urządzeń, któreby zapobiegały rozdrobnieniu własności chłopskiej. Domagał się więc, aby przyszła ustawa zastrzegła zasadę, „iż każda zagroda wiejska... jest z natury swojej majoratem, w którego posiadaniu następuje syn lub córka zamężna, niekoniecznie wedle pierworodztwa": że własność ta może być wprawdzie sprzedana lub w inny sposób przejść z jednej rodziny do drugiej „lecz zawdy przy zachowaniu przepisanych warunków zabiegających następnemu lub zupełnemu upadkowi zagrody".

Oto są wskazania, które i dziś uchodzą za niesłychanie nowe, wskazania należące całkowicie do epoki nowej.

d) Kościuszko a naród rosyjski.

Jest jeszcze w insurekcji Kościuszkowskiej inna, bardzo mało zresztą znana idea, o której jednakże można się dowiedzieć z cytowanej już paraleli, przeprowadzonej przez Lelewela pomiędzy powstaniem Kościuszkowskim a powstaniem listopadowym.

„Słyszeli nie raz Polacy, pisze Lelewel, powtarzających Rosjan, z tych, co ich krainę nawiedzali, że byle się Rzplita utrzymała, to będą się ekspatriować z Rosji i przeniosą się do Polski. Pierwsi wtedy powstańcy odezwali się do Rosjan, wzywając, aby o swoich pomyślej swobodach i wspólnie z Polakami wzięli się przeciw Carowej; skutku to nie miało"... A więc powstanie było skierowane nie przeciw narodowi rosyjskiemu, lecz przeciw Carycy. I nie jest winą Polaków, że do takiej wspólnej walki obu narodów przeciw caratowi nie doszło, że nie doszło do przymierza obu narodów i później, gdy Mickiewicz w jednym ze swoich wykładów w Collège de France wypowiedział słowa braterstwa dla Rosji. Obecny na nowym wykładzie znakomity historyk francuski, Jules Michelet, pisze w książce p. t. „Kościuszko. Legenda demokratyczna", że Rosjanie obecni także na wykładzie Mickiewicza, usłyszawszy słowa jego, „zostali rażeni piorunem: oczy ich wryły się w ziemię". A my, Francuzi, wzruszeni aż do głębi duszy, zaledwie śmieliśmy spojrzeć na nieszczęśliwych słuchaczy polskich siedzących przy nas na tych ławkach". Do zjednoczenia ideałów polskich i rosyjskich nie doszło — nie z naszej winy...

Jest więc Kościuszko zamknięciem epoki nowej, dzięki wskazaniom dziś jeszcze aktualnym.

6. KOŚCIUSZKO UOSOBIENIEM BOHATERSKIEJ DOBROCI STARODAWNEJ POLSKI

Według Askenazego (usłyszymy te słowa po raz trzeci) Kościuszko jest wcieleniem „n a j w y ż s z e j i d e i c n o t y n a r o d o w e j". Michelet zaś ogłosił go w cytowanej książce już w roku 1849 jako wcielenie „b o h a t e r s k i e j d o b r o c i s t a r o d a w n e j P o l s k i". Przypomniał też zarzuty czynione mu z tego powodu, że przez zbyt wielką dobroć serca nie zmusił sobków do poświęcenia się za Polskę, a warchołów do uległości. Słusznie jednak powątpiewał Michelet, czy i największa bezwzględność Naczelnika w ówczesnych warunkach mogła była uratować Polskę.

Nie należy czynić rzeczy złych, aby osiągnąć coś dobrego — głosił już w roku 1415, na soborze Konstancjańskim, rektor Uniwersytetu Krakowskiego, P a w e ł W ł o d k o w i c. A. Z y g m u n t K r a s i ń s k i starej tej zasadzie polskiej dał następującą piękną oprawę poetycką:

> Kto chce iskier z czarta kuźni,
> By przepalić czarta moc,
> Ten świat w gorszą spycha noc,
> Ten mądrości wiecznej bluźni.

Wiedział o tym Kościuszko i dlatego „iskier z czarta kuźni" nie brał. Nie zacieminił w niczym obrazu swego jako wcielenia „bohaterskiej dobroci starodawnej Polski", dobroci, którą dziś jeszcze krzepi się i buduje nie tylko naród Polski.

Dr STEFAN KAWYN

Legenda ludowa o Kościuszce

W wydawnictwie p. t. „Zbiór wiadomości do atropologii krajowej" (w tomie XIII z r. 1889, str. 106 n.) znajduje się artykuł Mateusza Gralewskiego pod skromnym tytułem: „Nieco z notatek etnograficznych". Artykuł ten przynosi autentyczną relację lokalnego podania ludowego o wierzbie Kościuszkowskiej rosnącej „o staje drogi od Pleszowa". Zawiera przy tym objaśnienia topograficzne konieczne dla zrozumienia podłoża wartościowania w środowisku ludowym pamiątki Kościuszkowskiej. Komentarz ów mówi o tym, że gościniec strzeliście biegnący od wspomnianej wierzby skręca nieco ku południowi, by dopiero we wsi wrócić do wytkniętej z początku linii prostej w kierunku ku Mogile. Takie odchylenie, mające widocznie na celu zachowanie wierzby, świadczy zapewne o tym, że inżynier trasujący musiał się na tym odcinku poważnie liczyć ze wskazaniami innej, nie drogowo-budowlanej, natury. Jakoż spisane przed siedemdziesięciu laty (w r. 1876) opowiadanie chłopa z okolicy potwierdza domysł w zupełności; relacja zapisana u Gralewskiego brzmi następująco:

„Przed laty wiela, kiedy się wojny o Polskę prowadziły, jednego dnia nazbierała się w skwarny dzień chmura wojska we wierzbinie gęstej dla wypoczynku, a każdy szukał schronienia przed upałem. Kościuszko też, co prowadził to wojsko, siadł sobie pod jedną i tam przy spoczynku posilał się strawą.

Wojsko sobie poszło potem, jak zwykle, a wierzbina sobie z roku na rok rosła i rosła.

Przyszły potem nowiny, że Kościuszko umarł, a za nowinami i wierzby jakoś się nie trzymały; bydlęciu się niezdrowo robiło, kiedy liścia z którego drzewa chwytnęło, a koniec końców wierzby tak schły i schły, że z nich tylko jedna suchowata za miedzą graniczną pozostała, a druga ta buina, pod którą spoczywał sam Kościuszko i która żadnemu bydlęciu, jak skobnęło liścia, choroby nie przyczyniała, ale sama jeszcze zieleńszym i gęściejszym liściem się pokrywała.

Starzy ludzie o tym wiedzieli i zakazywali, aby tej wierzbie nic się nie stało, to też i teraz pilnują, aby jej nie trącać. Gdy przyszli inżynierowie do wytyczenia nowego gościńca, upominali się ludzie o wierzbę i komisja przystała, żeby drogę z skosa poprowadzić".

Wniknięcie w sens i formę podania naprowadza na wniosek, że mamy do czynienia z typową konstrukcją legendową: dopóki żyje Kościuszko i jego sprawa, wierzby wegetują; z jego klęską i śmiercią zamierają i drzewa w wierzbinie z wyjątkiem jednego, tego właśnie, pod którym spoczywał Naczelnik. W wyobrażeniu ludu — to drzewo życia. Rozwijać się ono będzie dotąd, póki starczy u ludu pamięci o Kościuszce. W tym drzewie skupiły się wszystkie siły życia, wszystkie moce dobre, uzdrawiające. Drogą myślenia mitycznego stało się ono u ludu znakiem zewnętrznym, symbolem prawdy tajemnej o życiu i szczęściu.

Podanie to — jedno z wielu o Kościuszce — nasuwa kilka uwag na temat twórczości zbiorowej u ludu.

Dokoła postaci wielkiej czy to w zakresie czynu czy sztuki powstaje — czasem za jej życia jeszcze — coś jakby mgławica różnych wieści, wyobrażeń, uczuć, idei, których twórcami są czasem jednostki, w przeważnej ilości przypadków zbiorowość, masa. Rodzi się forma ujęcia postaci wybitnej w takich kategoriach, w jakich zjawia się zdumionym często oczom postrzegających jednostek czy zbiorowości. Tworzy się legenda, w skład której wchodzą wartości pochodzące od samej postaci obserwowanej oraz to wszystko, co stanowi wynik procesu duchowego dokonującego się w kręgu obserwatorów pod wpływem zetknięcia się ze zjawiskiem postaci wybitnej. Mąż stanu, wódz, podróżnik - odkrywca, wynalazca, artysta — ci wszyscy, których wielkość zjawia się współczesnym i potomnym, mogą stać się przedmiotem legendy, jeśli urok ich osobowości, ich czynów i dzieła pobudzi zarówno jednostki postrzegające jak i masy do szczególniejszej twórczości; przyniesie ona w wyniku ostatecznym taki obraz wybitnej postaci, którego życzą sobie serca postrzegających.

Ważne jest wprawdzie to, czego dokonał, co stworzył człowiek wielki, ale równie ważne jest także to, co dały z siebie, zetknąwszy się z urocznym światem wielkości widzianej, jednostki i masy. Podziw, cześć, wdzięczność, miłość, — oto uczucia, z którymi zbliżają się do wielkiej postaci współcześni i potomni, oto podłoże, na którym wznosi się ich świat wiary, nadziei, pragnień i tęsknot, oto źródło ich dążeń, myśli i idei kierowniczych życia.

Zmieniają się one z pokolenia na pokolenie, a wraz z tymi przemianami powstają coraz to inne obrazy, coraz to inne ujęcia widzianej wielkości. Tak w oczach pokoleń polskich przeobrażała się postać Mickiewicza i można bez przesady stwierdzić, że każda generacja w Polsce miała takiego Mickiewicza, na jakiego sobie zasłużyła, jakiego była warta. Były epoki w życiu duchowym Polski, w których Mickiewicz jawił się pokoleniom jako twórca i dawca wartości dla życia narodu pożytecznych; były też epoki, w których widziano w nim tylko genialnego artystę w zakresie słowa.

Legenda Mickiewiczowska, która w głównych zrębach powstała za życia wieszcza, szczególnie w kraju pod zaborami, była bądź co bądź, początkowo zwłaszcza, tworem jednostek literacko - wykształconych, zdolnych a przy tym ruchliwych do tyla, by publiczności literackiej narzucić smak nowy. Dopiero później do tej koncepcji estetycznej dołączyły się koncepcje inne, pozaartystyczne, powstałe pod wpływem wypadków historycznych w całej zbiorowości polskiej.

W tworzeniu się legendy Kościuszkowskiej, u jej zarania, brak jest owego czynnika kultury intelektualnej, który tkwił w zalążku legendy Mickiewiczowskiej. Zrodziła się ona nie w środowisku ludzi wykształconych, jako wyraz zwycięstwa pewnego prądu umysłowego i artystycznego, ale w ś r ó d l u d u jako wynik ostateczny czci i wdzięczności dla człowieka, który, zajmując naczelne stanowisko w narodzie czasu jego walki o wolność, chłopską sukmanę wyniósł ponad błyszczący mundur generalski. W oczach ludu był to akt manifestujący charakter walki; bój toczył się nie tylko z wrogiem zewnętrznym o całość i niepodległość Polski, ale także rzucone zostało wyzwanie wrogowi wewnętrznemu, tym, co nie chcieli zadość uczynić sprawiedliwości społecznej. Stąd urasta Kościuszko w oczach ludu do wielkości człowieka, którego Bóg zesłał na ziemię, by ludowi dobrze czynił, szczęście przynosił, by wszystko, czego się dotkną jego ręce dobre, miało na zawsze moc uzdrawiającą. Stąd też — nie bez podłoża trwogi— dążność u ludu do poszanowania dla pamiątek Kościuszkowskich uświęconych tradycją pokoleń, by brakiem czci dla relikwi i wodza ludowego nie rozpętały się jakieś wrogie siły szkodzące ludowi, siły, które Kościuszko ujarzmił.

Prześledzenie podań ludowych o Kościuszce należy do pilnych zadań nauki polskiej. Przyczyni się ono niewątpliwie do zbadania istoty, zakresu, dynamiki i formy ludowej legendy Kościuszkowskiej w Polsce, zbliży nam samą postać Naczelnika narodu, a nade wszystko ukaże w całej rozległości i pięknie t w ó r c z o ś ć l u d u p o l s k i e g o.

W legendzie bowiem lud czci swego bohatera, ale zarazem składa świadectwo własnej swej mocy, własnych trosk, umiłowań i dążeń; p o z n a n i e l e g e n d y K o ś c i u s z k o w s k i e j j e s t z a r a z e m u ś w i a d o m i e n i e m t w ó r c z y c h s i ł l u d u.

Kościuszko w literaturze polskiej[*]

Początek roku Kościuszkowskiego przyniósł wydawnictwo pod każdym względem cenne: antologię dra Stefana Papée p. t. „Tadeusz Kośoiuszko w literaturze polskiej", która ukazała się nakładem ambitnej księgarni krakowskiej Stefana Kamińskiego. Po zbiorach: I. S. p. t. „Kościuszko" (Nowy Sącz 1895) oraz Wiktora Hahna p. t. „Kościuszko w polskiej poezji dramatycznej" (Poznań 1918) obecna antologia jubileuszowa daje istotny obraz rozwoju formy zjawiskowej Kościuszki, której twórcami byli najwybitniejsi artyści słowa polskiego. Z przeglądu koncepcyj poetyckich, począwszy od wiersza Alojzego Felińskiego z r. 1792 p. t. „Pochwała Kościuszki", dowiadujemy się, kim był, jakie wartości w sobie skupił rycerz w sukmanie chłopskiej nie tylko dla pokolenia współczesnego, ale także dla potomności, w historii jej życia duchowego, w rozwoju ideologii społeczno-narodowej; był to i jest zasób bogaty, puścizna brzemienna błogosławionymi w życiu narodu następstwami. Że często sprawy sobie nie zdajemy należycie, w jakim stopniu demokratyczna myśl Kościuszkowska zaważyła na dziejach demokracji naszej, — że fakt ten nie przeniknął do świadomości ogółu, — to już jest wina naszych historiografów nowożytnych, którzy od czasów monumentalnej monografii Tadeusza Korzona (II i ostatnie wydanie z r. 1906!) nie pokusili się o porywającą umysły i serca ogółu biografię Kościuszki w stylu chociażby monografii Askenazego o ks. Józefie Poniatowskim czy o Łukasińskim. Nie posiadamy także dzieła naukowego, ale o dużej mocy sugestywnej w stosunku do mas, które by przedstawiało w rozwoju historycznym legendę Kościuszkowską, legendę, która jest wytworem najszlachetniejszych uczuć, dążeń, tęsknot i pragnień narodu, legendę, która nie jest kołysanką dla narodu, ale dowodem jego siły żywotnej na drodze ku niepodległości i wielkości. Historyk polski woli się zajmować „legendą napoleońską" aniżeli Kościuszkowską. A przecież opracowanie Kościuszkowej „siły fatalnej", która wycisnęła swe znamię szlachetne na całokształcie życia pokoleń, — to kardynalny obowiązek narodu z krwi i kości demokratycznego, jakim Polska była, jest i będzie. Wyprzedził nas w tym obowiązku przyjaciel nasz — prawda — ale cudzoziemiec, J. Michelet, pisząc swą „demokratyczną legendę" o Kościuszce, która w r. 1851 doczekała się przekładu polskiego pióra Ksawerego Godebskiego. Dzieło jednakowoż wielkiego historyka francuskiego, który w podniosłych słowach czci naszego rodaka, widząc w nim „bohatera, świętego i prostaczka", wypływało z innej dążności; miało na celu zwalczać rozsiewane przez wrogie Polsce rządy pogłoski o rozpaczliwym okrzyku Kościuszki wobec klęski maciejowickiej: „Finis Poloniae!" Obowiązek naszej historiografii jest inny: wykazać na obszernym materiale dokumentarnym naszego życia duchowego, że treść Kościuszkowska dała nam, i zawsze użyczać nam będzie, mocy do trwania i przetrwania. W tej myśli najgoręcej — jak tylko to możliwe — upomnieć się należy po obywatelsku o taką książkę o Kościuszce, która by stanowiła poważny wkład do naszej historiografii nowożytnej a zarazem stała się popularną książką wychowawczą, jak ongiś spełniały swe zadanie wychowawcze wspomniane książki Askenazego, jak do dziś dnia pełnią to swoje chlubne przeznaczenie książki: „Historia demokracji polskiej" i „Stanisław Worcell" Limanowskiego.

Antologia dra Stefana Papée: „Tadeusz Kościuszko w literaturze polskiej" świadoma jest tych potrzeb, szczególnie na odcinku historii literatury polskiej; autor od historyków literatury domaga się studium osobowego o Kościuszce w literaturze polskiej, przypomina o długu dotąd niespłaconym...

Spełniając w ten sposób swe pożyteczne zadanie obywatelskie, antologia dra Papée wywiąże się niewątpliwie dodatnio z zadań wobec mas, którym ukazać należy Kościuszkę w najpiękniejszych ujęciach poetyckich. Wybór pozycyj bardzo wartościowych, układ antologii prosty i racjonalny, objaśnienia biograficzne autorów, liczne objaśnienia samego tekstu, zwięzły życiorys Naczelnika, wskazówki praktyczne dotyczące materiałów na obchody rocznicowe, tematy programów etc.. — wszystkie te zalety każą widzieć w antologii Kościuszkowskiej dra Stefana Papée książkę potrzebną, społecznie pożądaną, cenną dla domu polskiego, szkoły i świetlicy polskiej.

Dr Stefan Kawyn

[*] Dr Stefan Papée, Tadeusz Kościuszko w literaturze polskiej. Antologia 1746—1946. Kraków. Nakładem księgarni St. Kamińskiego.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

Organizacja samorządu kulturalnego

OD INICJATYWY DO REALIZACJI

W roku ubiegłym Ministerstwo Kultury i Sztuki podjęło inicjatywę organizacji samorządu kulturalnego. Rzucono myśl wielką i najbardziej słuszną, zmierzającą do oparcia bytu kultury i sztuki narodowej na tak mocnym i trwałym fundamencie, jakim jest społeczeństwo. Powiązanie zamierzeń i wysiłków Ministerstwa Kultury i Sztuki z pracą organizacyj zawodowych reprezentujących świat sztuki, czy też ze związkami rozwijającymi działalność o charakterze kulturalno - oświatowym, gospodarczym lub społecznym — jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

Ale zadanie to można zrealizować tylko przez odpowiednio zorganizowany samorząd kulturalny. Stąd właśnie wyrosła myśl powołania do życia Rad Kultury i Sztuki. Projekt ten ma w tej chwili charakter ramowy i do pewnego stopnia eksperymentalny. Wojewódzkim Wydziałom Kultury i Sztuki pozostawiono znaczną swobodę w rozwiązaniu tego zagadnienia do czasu ujednostajnienia organizacji samorządu kulturalnego i nadania projektowi form prawnych.

ROLA SAMORZĄDU KULTURALNEGO

Zadania Ministerstwa Kultury i Sztuki są równie ważkie jak i trudne. Ministerstwo to bowiem musi wyrąbywać drogę w dżungli obojętności i niezrozumienia spraw sztuki wśród znacznej części społeczeństwa, by w najcięższych warunkach materialnych, na gruzach zniszczonych miast i wsi nie tylko goić rany zadane kulturze i sztuce polskiej przez wojnę, ale i budować nowe nieprzemijające wartości. Ale prawdziwym niebezpieczeństwem jest bezsprzecznie ciągła groźba skostnienia, zbiurokratyzowania aparatu, którym posługuje się Ministerstwo Kultury i Sztuki. Stąd wypływa konieczność stałego, bliskiego i najbardziej bezpośredniego kontaktu ze społeczeństwem, a zwłaszcza ze światem pracowników sztuki oraz z pracownikami społecznymi działającymi na terenie chłopskim i robotniczym. Najmniejsze choćby rozluźnienie tych więzów grozi zachwianiem równowagi, a jednocześnie zejściem najlepiej nawet zapoczątkowanej akcji na ślepe tory.

Dlatego też organizacja samorządu kulturalnego ma dla całokształtu prac i zamierzeń Ministerstwa Kultury i Sztuki niemałe znaczenie, przez powołanie bowiem do życia Rad Kultury i Sztuki zapewni się bezpośredni kontakt czynnika urzędowego ze społecznym, unikając tym samym niebezpiecznych raf biurokratyzmu.

CENTRALNA RADA KULTURY I SZTUKI

Projekt Ministerstwa Kultury i Sztuki mówi w sposób szkicowy o organizacji Wojewódzkich Rad Kultury i Sztuki, pomijając natomiast komórkę najwyższą, a mianowicie Centralną Radę Kultury i Sztuki (nie ma też wytycznych organizacji Powiatowych i Gminnych Rad). Tymczasem powstanie Centralnej Rady Kultury i Sztuki jest rzeczą nieodzowną, tym bardziej jeszcze, że Wojewódzkie Rady Kultury rozpoczęły już tu i ówdzie swoją pracę.

Centralna Rada Kultury i Sztuki powinna mieć charakter opiniodawczy i doradczy. W skład jej weszliby: wybitni przedstawiciele świata kultury i sztuki, delegaci związków artystycznych (literatury, muzyki, plastyki, teatru i muzealnictwa), przedstawiciele szkolnictwa artystycznego, związków i organizacyj o charakterze społeczno-kulturalnym, Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, Związku Naucz. Polskiego, delegaci Związku Samopomocy Chłopskiej, samorządu terytorialnego, zrzeszeń młodzieżowych oraz partyj politycznych.

Zebrania Centralnej Rady Kultury i Sztuki powinny odbywać się 3—4 razy w roku, a w miarę potrzeby częściej. Rada wyłania spośród swych członków Prezydium oraz komisje o charakterze specjalnym.

Powołanie do życia Centralnej Rady Kultury i Sztuki powinno nastąpić jak najszybciej, by dorywczość, przypadkowość planowania w sprawach kulturalnych, z jaką często spotykamy się obecnie, zastąpić długofalową, skoordynowaną akcją, akcją opartą na zdrowych, trwałych fundamentach.

WOJEWÓDZKIE RADY KULTURY I SZTUKI

Wojewódzkie Rady Kultury i Sztuki powstały już w kilku województwach, zapoczątkowując realizację samorządu kulturalnego. Niektóre z tych Rad mają już pewien okres praktyki za sobą, a nawet mniejsze czy większe wyniki, upoważniające do snucia wniosków.

Okazało się na przykład, że zadzierzgnięcie nici ścisłej współpracy między Wojewódzkim Wydziałem Kultury i Sztuki a samorządem kulturalnym na stopniu okręgu dało pomyślne rezultaty. Tylko taki Wydział Kultury i Sztuki przestał być wyłącznie biurem do załatwiania sprawozdań z życia artystycznego, urzędem do opracowywania statystyk, a stał się natomiast źródłem korelacji wszelkich poczynań podjętych na danym terenie w zakresie literatury, teatru, muzyki czy plastyki, a zwłaszcza w dziedzinie najważniejszego i najtrudniejszego z zagadnień: upowszechnienia kultury. Z takich Wojewódzkich Wydziałów Kultury i Sztuki poczęły wypływać nie „rozkazy" przeznaczone dla twórcy, ale gorąca, prawdziwie serdeczna troska o losy, o byt sztuki w danym regionie oraz stale potęgujący się wysiłek zmierzający z jednej strony do zapewnienia sztuce należnego miejsca w odrodzonym państwie, z drugiej zaś do opieki nad wszelkimi przejawami twórczości artystycznej.

Praca Wojewódzkich Rad Kultury jest jednak narażona już na samym wstępie na liczne trudności, nie mając powiązania z nieistniejącą w tej chwili Centralną Radą Kultury. Stąd różnorodność i często szkodliwa dowolność statutów mogąca wprowadzić do młodej organizacji samorządu kulturalnego zamęt i dezorganizację. Ujednolicenie konstrukcji samorządu kulturalnego przeprowadzone choćby tylko w formie jednostajnego projektu tymczasowego jest rzeczą w tej chwili pilną i niezbędną.

POWIATOWE RADY KULTURY I SZTUKI

Daleko sprężyściej działają niektóre Powiatowe Rady Kultury, choćby może dlatego, że posiadają łączność z komórką wojewódzką, a tym samym i płynące stamtąd dyrektywy ułatwiające w znacznym stopniu pracę. Do Powiatowych Rad, obok przedstawicieli świata kultury i sztuki, oświaty, związków społeczno-kulturalnych i gospodarczych, wchodzą też delegaci z gmin wiejskich (tak np. jest w lubelszczyźnie). Rady Powiatowe składają się z 30 do 40 osób. Na czele (podobnie jak w Radach Wojewódzkich) stoi Prezydium złożone z trzech do czterech osób. By nie rozdrabniać na terenach powiatowych akcji kulturalnej Powiatowe Rady Kultury i Sztuki wyłaniają trzy sekcje: a) teatralną, b) chóralno-muzyczną, c) literacko-oświatową. Cała praca artystyczna zespołów ochotniczych na danym terenie jest pod opieką Powiatowej Rady Kultury i Sztuki, ściśle współpracującej z Referatem Kultury i Sztuki przy Starostwie.

GMINNE KOMISJE KULTURY I SZTUKI

Najbardziej jednak radosnym objawem jest powstanie Gminnych Komisyj Kultury i Sztuki, tak często mylnie nazywanych „Radami". Komisje Kultury i Sztuki przy gminach czuwają nad wyławianiem spod strzech samorodnych talentów, których tak wiele marnowało się u nas i dotychczas marnuje. Komisje te zajmują się również inicjatywą w zakresie tworzenia chórów i kapel ludowych, krzewiąc na własnym terenie muzykę i pieśń. Obok tego do zadań Gminnych Komisji Kultury i Sztuki należeć będzie praca nad rozwojem teatru ludowego, propagandą książki a jednocześnie stała troska nad ochroną zabytków architektury oraz sztuki ludowej we wszelkich przejawach. Przez uaktywnienie Gminnych Komisji Kultury i Sztuki Ministerstwo Kultury i Sztuki spełni zasadniczą swoją rolę, przenikając z akcją kulturalną do najgłębiej położonych a często nawet niedostępnych osad i wsi. Zadaniu temu warto poświęcić wiele sił i środków materialnych, a rezultaty nie każą na siebie długo czekać.

PODSUMOWANIE

Dotychczasowa praktyka wykazała, że Ministerstwo Kultury i Sztuki, działając w najcięższych, powojennych warunkach, zdołało mimo wszystko zdobyć b. wiele doskonałych osiągnięć, potwierdzając tym samym nie tylko potrzebę, ale wprost niezbędność istnienia tego resortu. Powołanie zaś do życia samorządu kulturalnego jeszcze bardziej usprawni, zdynamizuje cały aparat, roztaczający opiekę nad całokształtem kultury polskiej, wiążąc sztukę i kulturę z życiem.

JAN SZCZAWIEJ

JEST NAS DWOJE NA ZIEMI

Jest nas dwoje na ziemi i więcej nikogo,
Świat dokoła jak puszcza zdradziecka i głucha,
Co krok przepastne jary, noc spod nóg wybucha,
Wojny krwawym płomieniem świecą w twarz złowrogo.

Słowa poetów zmienić niczego nie mogą.
Ludzkości, stań, wysłuchaj. Ale nikt nie słucha.
Przez tłumy, które przemoc wznoszą ponad ducha,
Kroczymy przeciw wichrom tą piekielną drogą.

Nie było by gdzie schylić utrudzonej głowy,
Gdy drogi kres — daleki, a rozpacz już — bliska
I gdy wokoło pustka, śmierć i rumowiska,

Nie było by Ojczyzny, Wisły, ojców mowy,
Gdyby nie twoich oczu słodki brzask różowy,
Gdyby nie dłoń, co z wiarą rękę moja ściska.

JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA

SPOTKANIE

Gdy nic przede mną nie było
prócz drogi kamiennej i pylnej,
prócz śmierci w płowej alei
nad jedną pospólną mogiłą —

Gdy jak judejska niewiasta
w ogrójcu stałam mogilnym
zbawiona wszelkiej nadziei,
niezbyta tylko rozpaczy —

Wśród ruin i wśród rozpadni,
w ulicy martwego miasta
stanąłeś płomienny i nagły
trawy okryty płaszczem.

Sam jeden żywy — wśród cieni.
Jak wtedy — młody i jasny.
I rozpostarłeś na ziemi
swój płaszcz w stokrocie i jaskry —

Płaszcz trawy chłodny, zielony
pod moje struchlałe ciało —
O, Rabbi odnaleziony!
O, Słowo, które się stało!

...Stało się w nowej murawie;
w mleczu rozsianym przez zieleń —

Panie! I w tym odzieniu
poznaję Cię — poznaję —

JAN WIKTOR

DUMANIA

(fragment)

Za godzinę siedzę na progu domu, w którym dawniej mieścił się uniwersytet chłopski im. Władysława Orkana, gromadzący młodzież najbardziej ideową z całej okolicy. Poza płotem rozpościerają się łany daleko, aż sięgają błękitów, skąd zlatują obłoki, co sprawia wrażenie, że to żniwiarze w lnianych szatach zstępują z niebios i giną w złotych zagonach. Tuż obok na murawie spiętrza się granitowy głaz, czerwieniejący w słońcu, jakby promieniował żarem, przepojony od wnętrza. Ten kamień, przyniesiony na lodowcu przed pół milionem lat, wrósł w tę ziemię, zawadzał pługom, dopiero chłopskie ręce go wyszarpały z gleby i tutaj położyły, aby stał się uczczeniem pisarza, jego zasług, który wyszedł ze wsi, z nizin i stał się chlubą narodu, jego ozdobą, dumą i pozostanie dla ludu na wieki na jego wyżynach. Pomnik tak surowy, a tak głęboko przemawiający. W twardości wykute jedno nazwisko:

ORKANOWI.

W ten sposób wychowankowie uniwersytetu chłopskiego uczcili pamięć pisarza, który stał się symbolem dla odrodzonej wsi, przywódcą duchowym. Nic dziwnego, że to imię weszło w ten złom granitowy, ożywiło go, tchnęło siły, wyolbrzymiło i stało się duszą tego miejsca. Orkan patronem tej uczelni, a jego pisma—są źródłem odrodzenia tworzącej się wsi, w ich natchnieniach przekuwa się dusze. Szkoda, że nie widać wezwania jego, skierowanego do synów tej ziemi, aby „jęli się odnowy i utrwalenia Rzeczypospolitej, budząc dumę odrębności swych ziem i dźwigając je pracą ku słońcu". Wczuwam się w opowieść życia tego chłopa porębiańskiego, urodzonego w kamienistej glebie, wyrastającego wśród cierni, których ostrość matka pulsami miłującego serca odłamywała, których twardość łzami zmiękczała, aby stał się dumą rodzinnej wsi, aby stał się najrodniejszą skibą, żywiącą chlebem duszę pokoleń. Wszystko sobie, matce, plemiennym siłom wsi zawdzięczał, to też mógł śmiało powiedzieć: „chłopskość równa szlacheckości, a często lepsza i godniejsza, bo z pracy wieków i znoju pokoleń, nie z łaski dworu (królewskiego) powstała".

Skądś z łanów wyłonił się długi szereg kobiet bosych, obarczonych pustymi bańkami i zbliżał się polnymi ścieżkami. Utrudzone szły. Wszystkie wyglądały jednakowo. Jedna za drugą przemijały, nie zwracając uwagi na nikogo, śpiesząc się do domowych spraw.

— Niech będzie pochwalony — niespodziewanie ktoś powitał.

— Na wieki — najstarsza odrzekła i krajem chustki twarz otarła.

— Skądże to?

— Z miasta.

— Jakże wam dzisiaj poszło?

— Chwałać Panu Jezusowi szczęśliwie donieśliśmy i żadna z nas nie była stratna. Niezawsze tak. Nieraz trzeba się ugonić, uszargać. Pod strachem Boga trzeba iść. Nie dość, że zbiją, jeszcze i odbiorą, i na karę zapiszą.

— Choć zbiją, to i tak pójdziecie.

— Co zrobić. Trzeba żyć. My z miasta, miasto z nas.

— Ostańcie z Panem Bogiem.

— Boże was prowadź.

— Paskarki — ktoś za nimi rzucił.

— Może im będziemy kiedyś budowali pomniki, bo uratowały miasto od głodowej śmierci.

— Są bez litości. Dla marnego grosza oddadzą duszę diabłu. I cóż im przychodzi z tych zarobków? Czy widać postęp na wsi? Czy podniósł się poziom życia? Małe potrzeby, ot, aby w niedzielę się ubrać, zaszeleścić łachami i poparadzić się przed innymi, w ślipia kłuć tym i innych upokorzyć — widzis ty nimos.

— Wieś podmiejska, w pierwszych dwóch latach, miała dużo pieniędzy i zużytkowała je po swojemu, a to na pijaństwo i karciarstwo — zaczęła wyjaśniać osoba żyjąca tutaj i patrząca z tego miejsca na wszystkie rozgrywające się sprawy. — W izbie, przy stole, grał ojciec ze starszymi synami, nieraz z 12-letnim, a obok na ławie tak samo się zabawiało młodsze rodzeństwo, nieraz pod przewodem 8-letniego brzdąca. I tamci i ci rzucali pieniądze garściami. Nie tylko po domach, ale też w polu, na miedzach, pod drzewami, w dzień roboczy i w niedzielę widać było grających. Taka nauka musi pozostać na całe życie. Powstała karczma, jako siedlisko największych uciech. Wieś zamieniła się w ohydną karczmę. Pili wszyscy. Widać było dzieci przechylające flaszkę na drodze. Wódka się lała bez miary. Śpiewy, tańce, awantury, i to zaraz w pierwszych miesiącach klęski narodowej, kiedy rozpacz i ból powinny wytrącać z garści kieliszek, zgłuszyć śmiechy, a duszę oblec w żałobę. Dawniej, po stracie wolności, na jej grobie tańczyły warstwy uherbione, a dzisiaj chłopi. Zdemokratyzowała się ohyda. I tak przeszłość wiązała się z teraźniejszością, pałac z chałupą. Najprzykrzejszy był widok dzieci wracających ze szkoły, naśladujących pijaków. Tak samo zataczali się, tak samo padali w rów, wyciągali noże — bebechy ci draniu wypuszczę. — Strachem przejmowało to widowisko, wywołujące wybuchy śmiechu wśród gromad. Gdy wspomnę zdarzenia od września 1939 roku, to budzą się we mnie najgorsze przypuszczenia. Dwadzieścia lat wolności od roku 1918 jakby ktoś przekreślił. Tędy szła granica rosyjska i ludność zawsze uprawiała przemyt. Po upadku caratu wszyscy rzucili się na te budynki, jako własność rządową, wprost rozdzierali je, niszczyli od krokwi po przycieś, nie zdając sobie sprawy, że te ściany mogły być pożytkiem dla ogółu. I w roku 1939 to samo się powtórzyło. Synkowie ojców z 1918 rzucili się do rabunku, na własność społeczną, na uniwersytet chłopski, bo to rządowe. Broniłam. Wtedy mnie odepchnęli słowami twardszymi niż pięści — co panią to obchodzi, to nie pani własność: Moskale odeszli i podzieliliśmy się tym, co zostawili, i teraz też to nasze.

— Obecnie polska własność — usiłowałam tłumaczyć. — Za co płaciliśmy podatki? — Z trudem obroniłam. Kilka dni wojny zmazało tyle lat pracy, wszystkie zdobycze z takim trudem uzyskane. Czy sposoby wychowania były złe, czy krótkość czasu jest tego powodem? — Nieraz zastanawiam się nad tym i nie mogę dociec przyczyny. Przecież ci ludzie mają szalone poczucie własności, przecież ci ludzie codziennie w pacierzu mówią żarliwie: — nie kradnij — i Bóg i kościół i ewangelia są bezsilne. Nieraz myślę, że Bóg i przykazania mieszczą się w pałce policjanta. Jeszcze wspomnę — zdaje się — dalej istniała granica. Odżyły dawne upodobania: przemyt, gonitwa, ucieczki przed pościgiem. Związek z Polską został rozerwany, moralność zniweczona. Skoro przestanie działać groźba bata, ksiądz jest bezsilny. Święcona woda nie zmyje kamienia.

Niedaleko nas bawią się dzieci kierowniczki, zaprzątnięte sprawami ważniejszymi niż wszystko, co się dzieje na kuli ziemskiej. W pewnej chwili przerwaliśmy rozmowę, łowiąc urywki dobiegających zdań. Pięcioletni chłopak mówi do ośmioletniego Januszka:

— Zakląłem się...

— A jak? — pyta brat.

— O tak — jak Boga kocham — brzdąc zdejmuje czapkę, jedną rękę kładzie na pierś, a drugą uderza się wznosząc oczy w górę.

— Grzech tak, a o co?

— Że mu dam nóż, ale i tak mu nie dam. Wyspowiadam się i nie będę miał grzechu.

— Słyszy pani? — zwracam się do sąsiadki.

— Słyszę i zastanawiam się na tym, czyja to nauka, czyj to przykład? Z domu tego nie wyniósł. Więc skąd? Pewnie przez zetknięcie się z innymi dziećmi. Jak odgrodzić dziecko od podobnych wpływów? Od najwcześniejszych lat jest zatruwane złem, które mu pozostanie na całe życie. Katolik będzie się dopuszczał najszkaradniejszych czynów, a będzie czysty w swoim sumieniu, bo się wyspowiada, dostanie rozgrzeszenie i zmówi w skrusze za pokutę kilka pacierzy, wprawdzie otrzyma upomnienie, aby zadość uczynił, krzywdę naprawił, szkody wyrównał, ale to nie jest ważne wobec modlitwy.

— To trzeba otwarcie powiedzieć, że źle pojmowana spowiedź jest jedną z największych przyczyn zła i demoralizacji. I to nietylko na wsi. Wszędzie. Któż na to zważa, że pokuta służy do poprawy wewnętrznej, do podniesienia się z upadku. W gimnazjum, za moich czasów, tak samo spowiadaliśmy się, wymieniając odpowiednio naświetlone grzechy, niektóre opuszczaliśmy świadomie, a na zakończenie mówiliśmy: kłamałem. — To znaczy teraz przed Bogiem, przy konfesjonale. Odchodziłem spokojny w sumieniu swoim, żem wyzbył się win, żem zbyt srogiej pokuty nie otrzymał. Kościół nie ma nic wspólnego z życiem. Kościoły pełne, ale puste serca, kościoły ozdobione a nędzne serca. Księża głoszą wzniosłe kazania o cnotach, a wierny jest taki sam, jaki był jego pradziad. W niedzielę wysłucha, a w zwyczajny dzień robi swoje, postępuje wedle własnych przykazań. Pod maską modlitwy, szkaplerzy, różańców spokojnie spoczywa zło, ohyda. W hańbie ciemnoty, w błocie nędzy, w krwi uciemiężenia, gniła dusza naszego chłopa. Kiedyż on zrozumie, że jest wart tylko tyle, ile urzeczywistnia swoim życiem prawdy boże na ziemi?

— Za dużo wymagamy od człowieka. Czyż można ujarzmić odwieczne siły? Ujarzmić grzechy i namiętności, to chcieć pajęczyną spętać wicher. Potępiamy chłopa, robotnika, że nie są chrześcijanami, a czyż są nimi stojący na świeczniku, owi wodzowie i hetmani narodu? Wyjdźmy z suteryn i spójrzmy po salonach, czy nie zadrżymy z przerażenia. Każdy dzień dostarcza nam przykładów, że życie jest zaprzeczeniem ewangelii, której jesteśmy żarliwymi wyznawcami w niedzielę, wobec ołtarzy. O, w tym dworze — wskazała kierowniczka zarysy budowli i drzew w parku — mającym być ogniskiem kultury, dobrych obyczajów, mieszkał szambelan papieski, prezes najczcigodniejszych stowarzyszeń katolickich, mających za cel dobro człowieka i chwałę Boga. Wedle przeróżnych dostojników we fioletach był wzorem cnót chrześcijańskich. Otóż szastał pieniędzmi, pożyczonymi od każdego, kto chciał dać. Nie wybierał. Od żydów też. Majątek ponad miarę zadłużony sprzedawał chłopom po kilka morgów. Nie mógł im dać prawa własności i zawrzeć kontraktu. Po nim objął dziedzictwo, złożone z iluś tam morgów urodzajnej ziemi, synaczek, stawiany na przykład bogobojnego męża. Jakaż to była pokora, jaka żarliwość i świętość, kiedy w czasie sumy, w ławie kolatorskiej, ozdobionej pysznym herbem, modlił się na wielkiej książce, po prababce, niewieście bardzo świątobliwej, po której odziedziczył wszystkie cnoty. W czasie procesji, ku zbudowaniu maluczkich, zaciskał grubachną świecę i śpiewał tak wielkim głosem, że aż mury się trzęsły, aż niebo się otwierało i anieli zbiegali na chmury, aby posłuchać. A po nabożeństwie przywlokła się do dworu jakaś babina żebrząc o oddanie długu, to ten sam bogobojny mąż, wzór cnót chrześcijańskich, własnymi rękami wyrzucał cholerę za drzwi i jeszcze szczuł psami. Za — wszechmiar pożytecznym — przykładem ojca nieboszczyka, zmarłego w uwielbieniach dostojników kościoła, synaczek w dalszym ciągu sprzedawał ziemię. Zbiegali się małorolni, wyrobnicy, fornale, z węzełkami kryjącymi uciułane oszczędności — można powiedzieć pot zbierany przez lata w ciężkiej służbie, w wyzysku i mordedze, aby wpłacić zadatek na morgę, dwie, trzy. Nie dostawali kwitu, wystarczyło baronowskie słowo. A jaśnie pan wydzierał te brudne szmaty, wyciągane spod pazuchy, i rwał do stolicy lub pod Wawel i ten, podwalina społeczeństwa, ta ofiarna służba dla kościoła i narodu, hulał przez parę dni po knajpach i dancingach, przy stole karcianym trwonił krwawicę wyrobników, bandosów, ze szklanek szampańskich wylewał znój nędzarzy polskich. W poniedziałek rano, spłukany do ostatniego grosza, wracał jaśnie pan do domu ojców, do obowiązków ziemiańskich, aby przykładnie pracować na pradziadowskim zagonie. Ileż razy musiałam za niego zapłacić złotówkę za bilet, bo chcieli nieboraka marnotrawnego w drodze wyrzucić z autobusu. I znów przez tydzień tkwił jak pająk, czekający na ofiarę, a nigdy nie opuścił rannej mszy. Jezu, gdzieżby dopuścił się takiego grzechu. Różaniec był jego ochroną, mieczem i pancerzem przeciw pokusom tego niecnego świata. Gdy nie mógł zebrać dostatecznej kwoty, to w niedzielę i święta tkwił w kolatorskiej ławie, umieszczonej obok ołtarza, i cały zatopiony w Bogu, nad tą grubą książką, której dewiza rzucała się w oczy: módl się i pracuj. — Nowi nabywcy poklecili domki, otoczyli swoje morgi miedzami i gospodarowali wedle wzorów ojcowskich, jak im sierp, motyka i pług kazały. Prosili pana barona o zawarcie kontraktu. Nigdy nie miał czasu. Nadal brał raty. Sam wiedział, że nie może tej ziemi oddać w posiadanie, z powodu nadmiernego zadłużenia. Przyszła wojna, rozegrał się ostatni akt, zakończony bardzo tragicznie. Władze niemieckie kazały rozebrać zabudowania i precz się wynosić. Nie chcieli. Jakże to? Niszczyć to, co z takim trudem zbudowali? Pazurami będą bronili, piersiami zasłonią. Nie? — To podłożyć trzeba granat i te budy pójdą z dymem. Co było robić? Przenosili belkę za belką gdzieś na pustkowie, aby znów związać jakąś izbinę. Jedni otrzymali małe gospodarstwa po żydach, drudzy zostali jako służba, a inni poszli z workiem na grzbiecie, aby gdzieś pod kościołem zdechnąć, wpatrując się w szczęśliwość wiekuistego raju. Ich zagony zostały włączone do niw dworskich i zaorane wedle najnowocześniejszych wzorów gospodarowania, aby nie marnować jednej grudki. Kto ponosi winę? Czy chłop ciemny, głupio sprytny, a tak bezgranicznie naiwny, czy też dziedzic marnotrawca? Różnie o tym mówią? Słyszałam nawet zdanie jednego z księży, że pani dziedziczka jeździła do Liegenschaftów, aby scalić te karłowate gospodarstwa, włączyć do dworu, a tymczasowych właścicieli precz wyrzucić. Jednakże trudno w tę potworność uwierzyć. Nie zdziwiłabym się, gdyby kiedyś ci wyrzuceni nędzarze rozdarli ów dwór, rozszarpali jego właścicieli, bo tyle w nich wezbrało zemsty i nienawiści. Ach, gdyby to był odosobniony, karygodny wyjątek. Ostatnie lata dostarczają nam aż nazbyt bolesnych przykładów. Wołało się wciąż — nie niszczyć dworów, bo one są ogniskami wiekowej kultury. Czy tak jest? — wciąż wraca to pytanie, na które życie daje druzgocącą odpowiedź. I ten dwór, wyrosły z pszennej, bogatej ziemi, mógł być ośrodkiem wzorowego gospodarstwa, szkołą dźwigania okolicznego ludu z nędzy i opuszczenia, a stał się zakałą i zgorszeniem. Nic też dziwnego, że patrzy nań chłop z zaciśniętymi pięściami.

W oddali, w mgłach powstających rozjaśniło się zjawisko jedyne na świecie. Z promienistych błysków słońca wyłoniło się miasto zarysami dachów, wież i krzyży. Złotem rozkwitło, a potem spłonęło różem i purpurą. Na wargach naszych rozżarzyło się słowo, będące miłością i uwielbieniem.

— Kraków.

Obraz zszarzał i ginął w zmierzchu spowijającym świat przyjrzystymi, coraz bardziej gęstniejącymi osłonami.

Już tylko krople świateł zawisły nisko nad ziemią. Noc nad nami.

— Cóż ciemności mogą nam dać? Tylko gwiazdy, a one są jedynymi uczuciami pustych niebios.

Teraz patrzyliśmy w przestworza, wierząc, że z gwiazd spłyną promienie darzące nas czymś, co budzi nadzieję. Czekaliśmy wiele godzin, gwarząc o tylu sprawach, zagadnieniach, przejawach dzisiejszego życia. Nie wiedzieliśmy, kiedy mroki rozwiały się, gwiazdy zbladły i zniknęły, a na wschodzie sklepienia zorzą spłynęły. Świt nagle wybuchnął.

— Przeminą najczarniejsze noce, zda się nie mające kresu, a świt nawet najgłębiej ukryty, musi się nam objawić — ktoś rzekł do wstającego słońca, jakby mówił słowa modlitwy.

ANTONI MAŚLIŃSKI

Michał Anioł Buonarotti

(1475—1564)

Posępny tytan swą wulkaniczną duszą przeżył największe dramaty stworzonego człowieka, zajrzał w samą otchłań dobra i zła, pojął proroków Starego Testamentu i ich słowom o rzeczach ostatecznych dał godny wyraz w formie plastycznej. Był chwałą renesansu i przeżył go. Stał się natchnieniem dla następnej epoki — baroku. Zaciążył potęgą wyrazu swej gigantycznej duszy nad człowiekiem współczesnym, — stał się człowiekiem wiecznym. Czegokolwiek się dotknął swoją twórczą ręką, temu



MICHAŁ ANIOŁ „PIETÀ"

dał życie, jak jego Stwórca — Adamowi Dobrze się czuł na zawrotnych wyżynach wśród bratnich duchów — proroków Starego Zakonu, wysłańców Boga i głosicieli przyszłych wyroków. Jak nikt może pojął ich prawem powinowactwa duchowego.

Przez swą wszechstronność był prawdziwym dzieckiem swojej epoki. Rzeźbiarz, malarz, architekt, poeta...

Spojrzenie nasze pada na jego marmurową grupę w kościele św. Piotra w Rzymie „Pietà". Zastygła w bólu Matka Boska trzyma na kolanach martwe ciało Chrystusa. Mamy tu już ten stopień tragizmu, który przeszedł w jakiś bolesny spokój i rezygnację, wobec którego blednie wzniosłość sofoklesowskiej tragedii. Przejawia się on w wymownym wyrazie twarzy, pochyleniu głowy Madonny i geście Jej lewej ręki. W tej chwili bowiem przeżywa Ona swoje przeznaczenie — miecz boleści, zapowiedziany Jej przez Symeona kapłana. Znosi swój los mężnie. Oddał to mistrz przez nadanie Jej dużo większych rozmiarów w stosunku do wątłego ciała Chrystusa, czyniąc jednocześnie zadość logice rzeźbiarskiej szczególnie przez to, że rozstawione kolana Matki Boskiej wraz z uroczystym, barokizującym niemal układem draperii, choć w tak klasycznie spokojnej kompozycji, stanowią mocną, jakby architektoniczną podstawę dla piramidalnie wznoszącej się całości. Ważnym czynnikiem kompozycyjnym jest tu lewa ręka Matki Boskiej i lewa noga Chrystusa, równoważące wraz z pochyloną głową Matki Boskiej pochylenie Jej całego korpusu w lewo. Poczucie bowiem równowagi, zaspokojone wtedy, gdy bryła w rzeźbie lub plama w obrazie z jednej strony ma swój ilościowy lub jakościowy odpowiednik z drugiej strony, jest momentem ogromnego znaczenia w kompozycji artystycznej, co tak znakomicie realizowali mistrze renesansu. Takich odpowiadających sobie jakości linearnych (oczywiście dyskretnie, mamy tu bowiem do czynienia nie z geometrią, ale z dziełem sztuki, które w porządkowaniu chaosu form natury oscyluje między prawidłowością a różnorodnością bogactwa) można wykazać tu dużo więcej. Tak oto czynniki formalne, w należytym dystansie od naturalistycznego traktowania, wypowiadają tę największą tragedię świata.

Na przykładzie Rodziny Świętej w sposób szczególniejszy widać, że ten geniusz był nade wszystko rzeźbiarzem. Uderza tu silne, dotykalne niemal poczucie bryły. Dla osiągnięcia tego efektu, dla uwydatnienia całej głębi przestrzennej, jak na to zwracał uwagę prof. Morelowski, namalował Michelangelo Madonnę w silnym skręcie, przyjmującą Dzieciątko Jezus z rąk św. Józefa. Przez ten skręt występuje jednocześnie gra silnych mięśni w napięciu, przezierająca przez szaty. Wypowiada się przez to pasja artystyczna Michała Anioła jako człowieka renesansu. Złudzeniom głębi służą też tu skróty perspektywiczne i t. zw. przesłaniania. Zwartość i regularność kompozycji uzupełniają postacie nagich młodzieńców, tematycznie nie łączące się wcale, ale wraz z poziomymi motywami architektonicznymi niezbędne jako wypełnienie wolnej płaszczyzny, tym ważniejsze dla zrównoważenia czynnikiem horyzontalnym wertykalizmu grupy, że całą kompozycja obejmuje okrąg koła.

Renesansowy kult piękna ciała podyktował widocznie Michałowi Aniołowi ten a nie inny motyw tła obrazu. Mocna linia, podkreślająca ważność kształtu, monumentalne łamanie draperii w duże całości decyduje o tym, coby można nazwać **„heroicznym traktowaniem"**, które jest naczelną cechą stylu Michała Anioła, wyróżniającą go najbardziej spośród innych mistrzów jego epoki. Podkreśla to wszystko jeszcze zdecydowany światłocień. Harmonia barw, — polegająca na nadaniu takiego odcienia jednej plamie barwnej, że uzupełnia się ona a nie kłóci z sąsiednią, zaspokajając i na tym gruncie poczucie równowagi oka ludzkiego, a wszystkie podporządkowane jakiemuś tonowi dominującemu, — uzupełnia tę jedność stylową, bez której nie ma wielkiego dzieła sztuki.

Znamiennym dziełem Michała Anioła jako architekta i rzeźbiarza jest t. zw. Nowa Zakrystia kościoła S. Lorenzo we Florencji. Dla dziejów architektury ważna jest ona przez swój dynamizm i niepokój, wyrażony przez operowanie dużymi całościami i kontrastowanie ciemnych pilastrów, archiwolt i obramień okiennych na jasnym tle ścian. Wokół nagrobków Medyceuszów ściągnięte pilastry po dwa, gzymsy nad nimi mocno załamane czyli gierowane, głębokie wnęki, spływające skośnie w dół woluty na trumnach — wszystko to jest wykładnikiem ruchu spiętrzonych mas, ujawnieniem sił tektonicznych ciśnienia i oporu, przy operowaniu ostrym światłocieniem przez wyciąganie ku przodowi i cofanie do tyłu poszczególnych partii architektonicznych. Jest przeto tchnieniem baroku, istniejącym już potencjalnie i aktualnie w duszy tego tytana na długo przed tym, zanim go sobie uświadomiła następująca po nim epoka. Same nagrobki, piramidalnie skomponowane, a szczególnie antytetycznie ułożone alegorie tchną poezją i są cudem ekspresji. Na nagrobku Lorenza de Medici naga postać kobieca przeciąga się, lekko unosząc rękę, zwisającą jeszcze nad piersią; z nieznacznie rozwartych ust wydobywa się pierwsze westchnienie: to Świt. Na drugiej wolucie postać męska o potężnej budowie i steranej całodziennym trudem twarzy, wsparta ciężko na ręce, uginającej się coraz bardziej tak samo jak i skłaniająca się coraz bardziej głowa: to Zmierzch. Następne dwie alegorie w nagrobku Giuliana de Medici przedstawiają Noc i Dzień.

Tak jak pierwsze westchnienie Świtu, tak samo pełne poezji jest ostatnie tchnienie Galla umierającego. Wyrazem zaś kultu potęgi Michała Anioła, oddanym w rzeźbie, jest Mojżesz w kościele S. Pietro in Vincoli w Rzymie.

Pod auspicjami papieża Juliusza II, wielkiego humanisty i wybitnej indywidualności, pokrył Michelangelo freskami sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej. Wywiódł tam dramat o stworzeniu świata i człowieka. Gdy brak miejsca nie pozwala na omówienie każdej sceny, zatrzymajmy się przynajmniej trochę na najbardziej typowych dla Michała Anioła kreacjach. Oto stworzenie ciał niebieskich. Dynamika wydała się snadź artyście najistotniejszym momentem wyrazu wszechmocy Bożej, bo przedstawił Stwórcę w potężnym ruchu, gwałtownym gestem ramion rozkazującego przestrzeni przed Sobą i za Sobą — w nieskończoność: stań się. Tak bliskiego sąsiedztwa z siłą Boską nie może znieść anioł: odrzucony nią i zatrwożony — odlatuje. Tak samo piętno genialności jest wyciśnięte na scenie stworzenia człowieka. Do skraju ziemi, tak sugestywnie odcinającej się od otchłani próżni przez użycie skośnego konturu, przybywa lotem chmury Stwórca, unoszony przez aniołów i obejmujący ich opiekuńczą ręką, na tle wzdętej jak żagiel szaty. Na skrawku ziemi czeka już człowiek — o tak silnej budowie fizycznej — a jakże słaby! Niemoc przenika jego atletyczne członki, bezwładna ręka ledwie się utrzymuje, wspierając się na kolanie. Jest wyciągnięta ku Stwórcy, bo posłuszna, ale zwisająca nie wypręża się ku prawicy Bożej, bo człowiek o smętnym spojrzeniu nie śpieszy się do życia. A kiedyś powie Bogu przez usta Joba proroka: „Czemuś mię wywiódł z żywota, który bodajbym był zniszczał, żeby mię oko nie widziało... Przeciw listkowi, który wiatr porywa, pokazujesz moc swoją, źdźbło suche gonisz". I będzie to w dniu Sądu Ostatecznego katastrofą dramatu, którego zawiązanie rozgrywa się w chwili stworzenia. Widzi to zatroskane oko Stwórcy. Patos chwili odbija się w szeroko otwartych oczach i twarzy anioła. Za chwilę z palca Stwórcy padnie iskra i da życie ciału ludzkiemu. Tak wyraził geniusz moment dania duszy człowiekowi, odbiegając od tradycji biblijnej, kierowany poczuciem mocy twórczej własnej ręki. A oto na ścianie kaplicy ostatnia karta dziejów rodzaju ludzkiego na ziemi: Sąd Ostateczny. Gwałtownym ruchem Swej mocarnej prawicy strąca w otchłań potępionych Chrystus — już nie ten wątły, leżący na kolanach Madonny po zdjęciu z krzyża, ale na obłoku, w całej Swej potędze, bo Ojciec „dał Mu władzę sąd czynić, iż Synem człowieczym jest". Tuli się trwożnie do Niego Jego Matka, przeniknięta zgrozą tego „dnia gniewu Pańskiego"— ta dotąd „Omnipotentia supplex" — Wszechmoc błagająca. Eschatologiczny nastrój Sykstyny potęgują okalające sceny stworzenia postacie proroków i sybill. Izajasz, największy z proroków, owiany natchnieniem, zbliża się ujęciem stylowym do tego wyrazu, jaki najwięksi mistrzowie nadawali najwznioślejszemu z ewangelistów — św. Janowi.

Jako 72-letni starzec podjął się Michał Anioł przebudowy kościoła św. Piotra w Rzymie. Potężne masy architektoniczne wnętrza, filary z pilastrami, dźwigające olbrzymie kolebkowe (beczkowe) sklepienie, stały się jego pieśnią o wielkości, a tęsknota za ogromem znalazła godny sobie wyraz w zuchwałej wysokiej kopule. Tambur, (bęben) kopuły ze sprzęgniętymi podwójnie kolumnami i gwałtownie wyładowanymi gzymsami jest manifestem ducha baroku w architekturze, tak jak freski Sykstyny, a zwłaszcza Sąd Ostateczny, jedno z ostatnich jego dzieł, były przejawem barokowości w malarstwie.

Nie zmieścił się w ramach epoki własnej ani następnej. Twórczość jego, w poszukiwaniu formy mającej dać wyraz wieczności, rozsadzała granice epok nadludzką potęgą.



MICHAŁ ANIOŁ „RODZINA ŚWIĘTA"

JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA

DO ŚWIATA

Kwieciem cierpiący,
deszczem płaczący,
oczekujący trawami,
kwitniesz miłością,
rosisz żałością
i szumisz, szumisz snami —

Obcy jak śnienie
we mnie masz rdzenie,
mną żyjesz — a ja w tobie.
Gwiazdy nad nami —
i my gwiazdami
w wszechświata czarnym globie.

O świecie! Zjawo!
Straszne nas prawo
w wieczystej spoiło jedni.
Kwitniesz w krwi mojej,
wołasz w mym słowie,
a ja kołuję w twej bezdni.

Nie wydrę-ć z siebie!
Gwiazdą na niebie
i ptakiem śpiewającym,
różą w uśpieniu,
wiatrem w natchnieniu
i sercem będę płaczącym.

W kręgu obłocznym
nigdy nie spocznę
sama — twój wiatr niespokojny,
aż cię — o ciasny —
życiem mym własnym
dogonię, obejmę i pojmę.

Aż cię w mych zwidach
na światło wydam,
do trzew dobędę, do kośćca —
Fletń z twego drzewa,
sens twój wyśpiewam
i duszę wyśpiewam do cna.

Wtedy z twych oków
wzlecę jak sokół
w słoneczne i gwiezdne zamiecie —
Lecz serca korzeń
pod trawy włożę —
w twe serce — o wrogu, o świecie!

EDWARD MARTUSZEWSKI

Krytyka a uspołecznienie literatury

W jednym z numerów francuskiego czasopisma „Volontes de Ceux de la Résistance“ ukazał się ciekawy artykuł Jean'a Mitry. Zajmuje się on kwestią, „jaka powinna być krytyka literatury i sztuki“. Między innymi czytamy: „Krytyka powinna być analityczna i konstruktywna“, a następnie: „Jeśliby krytyka polegała jedynie na tym, co ktoś myśli o danym utworze, byle kto mógłby być krytykiem. Pierwszy lepszy czytelnik (widz) zdolny jest wydać opinię o rzeczy przeczytanej (względnie widzianej). Takich ludzi — tysiące. Nie widzę powodu, dlaczego miałby nim być ten, a nie ów. Lecz jeśli ktoś wskazuje mi na to, czego sam nie umiałem odkryć, jeśli mi wykazuje, że dana rzecz jest interesująca lub godna uwagi — opinia jego staje się dla mnie ważna, gdyż jest uzasadniona. Voilà de la critique!“ Słuszność powyższych uwag staje się wyrazistsza, jeśli spojrzymy poprzez nie na współczesną naszą krytykę literatury. Pogarda dla odbiorcy jest często, niestety, jej hasłem. Dogmatyzm myślowy, ustrojony w trudno zrozumiałe słówka i zwroty jest w wielu wypadkach jej cechą charakterystyczną. Wynik taki, że na literata mówiącego np. o uspołecznieniu literatury szary człowiek patrzy jak na obywatela, który gada sam do siebie (dosłownie! — bywają takie wypadki). Być może, że ktoś przemyślał jakieś zagadnienie gruntownie, być może, że ma stuprocentową słuszność, lecz czytelnik chce przede wszystkim, by artykuł go **przekonał**, a tymczasem spotyka się z próbami zaimponowania mu. Postępowanie nader nieroztropne.

Wśród literatów krytyk powinien mieć najwięcej zamiłowania do ścisłości i precyzyjności, za wzorem matematyka, fizyka i chemika. Nikt nie patrzy z pogardą i lekceważeniem na matematykę, choć opiera się ona również na takim komunale, takim szablonie, takim wyświechtanym, oklepanym stwierdzeniu, że „cztery razy dwa jest osiem“. Również w krytyce obowiązują takie, mówiąc bez kpin, fundamentalne stwierdzenia, sine qua non. Oto niektóre: Krytyk w swej pracy powinien przede wszystkim dążyć do poznania i zrozumienia intencji danego autora (czy można sobie wyobrazić krytyka, zasługującego na to miano, który by nie dążył do poznania i zrozumienia intencji danego autora?). W stosunku do każdego utworu trzeba okazać 100% dobrej woli (czy pochwalimy krytyka, który podchodzi do danego utworu ze złą wolą?), by móc przystąpić następnie do spokojnej analizy zamiarów autora, dobrych czy złych, małych czy dużych, mniejsza o to. „Nie można nazwać krytyczną wartością całkowicie osobistej oceny myśli, rodzaju czy stylu, lecz nazwę tę można dać tylko analizie formy danego utworu w stosunku do wyrażonej myśli, mniejsza o to, jaka to była forma, względnie myśl“.

Lecz z drugiej strony, dążenie krytyka do zrozumienia celów, jakie sobie stawiał autor w chwili tworzenia, również zaprowadzić może na manowce. Łatwo bowiem „podrzucić“ autorowi cele, których on wcale nie miał zamiaru osiągnąć. Praca krytyka jest bardzo odpowiedzialna, niemniej odpowiedzialna niż praca inżyniera, który np. kreśli plan budowy mostu. Różnica leży w tym, że inżyniera za złą konstrukcję mostu można pociągnąć do odpowiedzialności karnej, podczas gdy „fałszywemu prorokowi“, mącącemu życie literackie (czy artystyczne) uchodzi to zazwyczaj na sucho. Licentia poetica „obowiązuje“ tylko w poezji; krytyka literatury, będąca pod takim czy innym względem jej uzupełnieniem, powinna dążyć do ścisłości i precyzyjności w ocenach. Słowo krytyka nie może być wekslem bez pokrycia, nie może stać się zasłoną dymną dla pustki myślowej.

W wyżej wspomnianym artykule Jean'a Mitry znajdujemy jeszcze jedną słuszną uwagę: „Sztuka nie zna dogmatu, lecz jedynie „dzieła“ („des oeuvres“). Każde z nich należy traktować jako osobny przypadek. Błędy i zalety są wartościami względnymi. Przy pomocy identycznej dla wszystkich utworów formułki nie można by przecież tworzyć dzieł różnych (des oeuvres differentes)“. Błędem jest więc z naszej strony, jeśli jakieś dzieło stawiamy za wzór, jeśli je uważamy za „klasyczne“. Jakieś arcydzieło powinno być szczytem osiągnięcia artystycznego — dla odbiorcy, nie zaś — dla drugiego artysty. Dążenie do oryginalności w sztuce jest istotniejsze niż sama oryginalność, która, jak to już wiadomo od czasów Ben Akiby, nie istnieje. Można by tu przeprowadzić analogię ze zdaniem Edgara Poe: „Szczęściem nie jest poznanie, ale poznawanie“.

Jeśli naśladownictwo uniemożliwia stworzenie arcydzieła, do celu tego może doprowadzić jedynie dążenie do oryginalności (naturalnie w zdrowym pojęciu tego słowa).

Wracając do tematu, pozwolę sobie zreasumować, że obok jasności i precyzyjności myśli, cechą dobrej krytyki powinien być jasny, zrozumiały język — język tych mas, do których autor się zwraca, a nie gwara tych nielicznych kochanków Muz, o których utworach chce im mówić, utworami których chce te masy zainteresować i rozentuzjazmować, w służbie Piękna i Dobra.

W akcji uspołecznienia literatury, prawdziwego uspołecznienia, przed krytykiem staje wielkie, odpowiedzialne zadanie. Jeśli istotnie zależy mu na pozytywnych rezultatach, musi pójść śladami pedagogów, musi dążyć do zainteresowania literaturą tych, którzy się nią nie interesują, musi „nawracać“ pogan a nie — wierzących. W dzisiejszych czasach trzeba nam więcej misjonarzy, a mniej nadwornych, „złotoustych“ kaznodziei.

Nie mieszajmy jednak akcji uspołecznienia literatury z rozwojem samej literatury. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Obie sprawy są równie ważne i obie wymagają od krytyka przede wszystkim **poczucia odpowiedzialności** (wybaczcie mi to powtarzanie się, lecz repetitio est mater studiorum).

WIELKIE NIEPOROZUMIENIE

Znacznie ponad tysiącstronicowa **powieść Jalu Kurka o Janosiku** (tom I „Sława Głuchaczkom“, tom II „Śpiew ściętej głowy“ — wydanie księgarni Stefana Kamińskiego w Krakowie) jest dziełem znanego poety i powieściopisarza z kilku powodów zastanawiającym. Wysoki artyzm stylu, wspaniałe opisy, szeroki oddech epiczny przeplatany tak chwytającymi u Kurka obrazami lirycznymi, barwne opisy natury, zadziwiające znawstwo szerokiego terenu zachodnich Karpat polskich i czechosłowackich, ostro rysowane typy, które się widzi plastycznie, miękkość opisów wzruszeń, miłości, zapach tych sielskich, zbójnickich miłości — oto niepospolite zalety tej olbrzymiej powieści, która poza tym obfituje w wady, jak jeszcze żadna z dojrzałych powieści laureata przedwojennej nagrody młodych.

Pomińmy jednak wady nie zasadnicze, jak np. pewną monotonię nawracających jak kierat na przestrzeni setek stron analogicznych faktów: napad bandycki i ucieczka, ukrywanie się, przeszpiegi — i znów napad bandycki i ucieczka i tak wkółko. Pomińmy fakt pewnych wybitnych zależności, jak ten Choromański narzucający się razem z wichurą przy operacji ginekologiczno-położniczej. Pomińmy nieartystyczną jednostronność pisarza, który na świat chłopski przelał same blaski, a na wszystkich innych same cienie i to niekoniecznie tłumaczące się dla całości powieści, jak np. przykre a zbędne uwagi o nauczycielstwie. To w końcu nie są rzeczy zasadnicze. Zasadnicza jest natomiast ideologia utworu i cel jego napisania. Tym więcej teraz, gdy tyle się mówi o zamówieniu społecznym w literaturze i konieczności upowszechnienia najszczytniejszych idei drogą powieści jako gatunku najdalej docierającego w głąb społeczeństwa — powieść będąca bierną apoteząą zbójnictwa, a właściwie po prostu bandytyzmu, nie tylko dziwi, ale po prostu mija się poważnie z twórczym celem.

Nie wiem, jaki ideał przyświecał Kurkowi, gdy tworzył „Janosika“, ale po przeczytaniu tej epopei musi się dojść do smutnych przeświadczeń — że mianowicie słuszność jest po stronie tych znienawidzonych i tak pokracznie opisanych przez Kurka postaci stojących na przeciw chłopstwu. Janosik i jego banda operująca — jak chce powieść — w latach tuż przedwojennych, to przecież zwykli bandyci, a ideowa strona, jaką im narzuca autor, nie może nas przekonać i zbyt smutno przypomina nam codzienne wypadki dzisiejsze z napadami różnego rodzaju, których sprawcy również występują jako ideowcy.

Krzywdy społecznej nie naprawia się indywidualnymi aktami gwałtu, a sprawiedliwości nie uzyskuje się drogą wyroków ferowanych przez jednostki nie powołane do wydawania wyroków. Tymczasem Jan Dziura, ów Janosik, wziął na siebie rolę „prostującego ścieżki“ i wywiązuje się z niej najfatalniej, grabiąc na prawo i lewo i pozostawiając na swej drodze trupy, rany i pożogę. Oczywiście, że potępiamy policjanta, który jest stronniczy i wyzyskuje swoje stanowisko dla osobistych korzyści, ale nie możemy potępić policjantów, którzy na rozkaz z Warszawy idą w obławie na bandytów i padają od ich kul. Najdziwniejsza jest rola stronnictwa politycznego, określanego przez autora mianem „ludowców“, które przez kilku swych przedstawicieli opiekuje się Janosikiem i świadomie korzysta z pieniędzy, które łupi on w swych wyprawach bandyckich. Wątpliwą uczciwością odznaczają się ci wszyscy chłopi, którzy za pomoc i milczenie otrzymują od Janosika stałe wynagrodzenie. Cóż powiedzieć zaś o roli Janosika jako przemytnika, zubożającego skarb państwa i napychającego kieszenie szajce kontrabandzistów? W ogóle całe to zagadnienie „ideowego“ bandytyzmu i „ideowego“ przemytu czy kłusownictwa zatrważa po prostu. Okropności idealizowania takiej akcji nie może umniejszyć fakt, że Janosik i jego banda dzielą się łupami z chłopstwem okolicznym, pomagając mu w ciężkim jego bycie.

To przetransportowanie legendy o półhistorycznym Janosiku w czasy dzisiejsze nie udało się, wyminęło się na całej linii z niewątpliwym zamiarem autora ukazania smutnej przedwojennej rzeczywistości ubogiej wsi podgórskiej. I tym gorzej, że ta pełna nieporozumień powieść o Janosiku odznacza się w twórczości Kurka tyloma świetnymi zaletami!

Witold Zechenter

JAN NAGRABIECKI

* * *

Rakiety gwiazd rozprysły po niebie.
Księżyc — jaśniejący medal błękit-
nego munduru —
oświetla warkocz wilgotny tłustej
ornej skiby;
ciche cienie drzew na baczność wartują siebie.
Wtedy narodzi się pobudka
wsią,

kiedy kohorty chmur przed zamiecią
armie wiatrów przyślą
i śnieżna obręcz zaręczyn
ziemi z niebem w powietrze wyleci
i poza świat się wypiętrzy —

Bitwa hasłami opływa i opada
szczękiem złamanego drzewa:...
Wyrywa sobie włosy wichr i graden
korale zaślubin jak pianę
wylewa...

Na drodze krzyża ciszę spotkaną
sprezentuje szablą srebrnej strugi
i niebieski szal niebem
przykryje role skib, brony i pługi.

Milcz, szaleńcze pól i ścieżek
złamanych wyrwą śpiewną.
Porwany w strzępy Twój uśmieszek
wiatr w wartę zakuł drzewną...

. . . .

A po polach nieba
jeziorem
księżyc się rozlewa
i pianą chmur spłukuje korę
wyblakłego drzewa...

. . . .

Stój! Jak cicho — stanąłeś
i Ty
w świątyni cichej blasku,
o Tobie wiedziała matka i łzy
Ci pokazała, głuptasku.
Struchlałeś? Lecz Ty się nie bój!
Żołnierzu! Twój poemat
ostrze księżycem topić
i znój
spędzać jak sen, którego
nie ma...

HENRYK SYSKA

ZJAZD LITERATÓW LUDOWYCH

Zjazd Wiejskiego Oddziału Zawodowego Związku Literatów Polskich odbył się w dniach 25—26 maja pod bardzo obiecującym znakiem. Przybyli chłopscy pisarze ze wszystkich dzielnic kraju w pełnej, dosyć pokaźnej już liczbie, aby radzić nad wypracowaniem dalszych kierunków i metod swojej owocnej jak dotąd pracy. Obok pióra takiej znakomitości jak autor „Nowej Naprawy“ Antoni Olcha, twórca „Nowosieleckiego Poematu“ Ozga-Michalski, buntownik góralskiej duszy Stanisław Nędza-Kubiniec, piewca ziemi śląskiej Paweł Kubisz z Zaolzia i cały szereg innych, którzy poważny już wkład wnieśli do skarbca literatury narodowej: licznie reprezentowała się — mówiąc lirycznym językiem brazylijskiego kolonisty Wojciecha Breowicza— „brać słowicza“, na którą składają się młodzi literaci tak co do wieku jak i twórczości, spośród których spory odsetek rokuje budujące widoki na przyszłość.

Jako zaproszeni goście na obrady przybyli: prezes i sekretarz generalny Związku Zawodowego Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz i Ryszard Dobrowolski, Minister Zdrowia Litwin oraz czołowi przedstawiciele partii politycznych. zrzeszeń gospodarczych i społecznych, które działalnością lub tradycją związane są ściśle z życiem wsi.

Zjazd otwiera naczelny redaktor „Dziennika Ludowego“, Marian Kubicki, po którym z kolei zabrał głos Antoni Olcha w pięknym i przejrzystym referacie o zadaniach, obowiązkach i celach chłopskiej literatury prowadzonej dziś przez jej zorganizowaną grupę.

Krótkie a treściwe sprawozdanie z dotychczasowej działalności złożył Stanisław Piętak. Mimo ogromnych trudności, jakie napotykał oddział, szczególnie w początkowej fazie swego istnienia, ogólny wynik pracy przyniósł dodatni i widoczny rezultat. Największą uwagą i troską otoczył zarząd swój organ naczelny, wydawany w Łodzi tygodnik „Wieś“, który w tej chwili tak pod względem treści, jak i szaty zewnętrznej stawiany jest w rzędzie najpoważniejszych czasopism społeczno - literackich, jakie ukazują się na terenie Polski.

Gorzej jest z wydawnictwem książek. Dotychczas nakładem oddziału ukazały się zaledwie dwa tomiki poezji, a to: Frasika Andrzeja „Urodzony w źdźble“ i Pawła Kubisza „Przednówek“. Plan wydawniczy jednak obliczony na najbliższą przyszłość przewiduje kilkanaście pozycji, wśród których figuruje między innymi t. zw. „Almanach chłopskiej literatury“.

Wybory nowych władz dały następujące wyniki: prezes — Stanisław Piętak, wiceprezesi — Kubisz Paweł i Antoni Olcha, sekretarz — Edward Marzec, skarbnik — Władysław Milczarek, członkowie zarządu — Jan Aleksander Król, Stanisław Nędza-Kubiniec i Andrzej Frasik. Ponadto skompletowano sąd koleżeński i komisję rewizyjną.

Ożywiona dyskusja tocząca się przez cały szereg godzin przyniosła wiele interesujących momentów. Nowe myśli, nowe plany, dociekania wyłaniały się coraz to z innej strony, rozszerzając krąg zainteresowań gromady o nowe, wysokiej wartości pierwiastki. Nie obyło się również bez starć i dysonansów. Jest to jednak zjawisko najzupełniej naturalne. Przeżywać je musi każda myśląca i konstruktywna grupa. Twórcza inicjatywa rodzi się bowiem nie tylko z samej wizji i zapału, lecz także i z konfliktów.

Na zakończenie zjazdu została złożona gremialna wizyta Centralnemu Ośrodkowi Szkoleniowemu Związku Samopomocy Chłopskiej w Zalesiu koło Warszawy, gdzie wychowują się kadry młodych społeczników i instruktorów organizacyjnych do pracy terenowej. Piękne majowe popołudnie spędzone wśród zabudowań i ogrodów parkowych dawnego ogniska jaśniepańskiej pychy, urozmaicone występami autorów, przeplatane przyśpiewkami dzielnych kursistów, dało niezachwiane świadectwo, jak żywotne w sercach pisarzy spod chłopskiej strzechy są bolączki, niedomagania, dorobek i perspektywy na przyszłość polskiej wsi w zaraniu nowej rzeczywistości.

Dr FELIKS ARASZKIEWICZ

W kręgu polskiej irredenty

Wśród polskich ruchów rewolucyjnych najmniej znane naukowo jest powstanie krakowskie z roku 1846 oraz tragiczna rabacja tarnowska, zwana rzezią galicyjską. Właśnie minęło sto lat od tych wzniosłych, romantycznych i tragicznych wydarzeń krakowskich i od bolesnych, krwawych czynów chłopów tarnowskich, wykorzystanych przez perfidię rządu austriackiego dla celów obcych pod płaszczykiem walki o sprawiedliwość społeczną.

O wydarzeniach tych pojawiło się obecnie sporo artykułów i wzmianek w prasie tygodniowej i codziennej, zabarwionych przeważnie aktualnymi akcentami politycznymi; tylko kilka prac usiłowało osądzić rok 1846 możliwie obiektywnie, na podstawie źródeł naukowych, które, niestety, są skąpe i bardzo sprzeczne w swych relacjach, szczególniej pamiętniki i wspomnienia.

Roman Werfel w „Twórczości" (Nr 2, 46) daje zestawienie dwu czołowych postaci, które odegrały faktycznie rolę dominującą w tym ruchu na przeciwnych biegunach jego podłoża ideologicznego, mianowicie Edwarda Dembowskiego i Jakuba Szeli.

Tadeusz Hołuj dość szczegółowo zaznajamia z tak zwanym powstaniem chochołowskim w Tatrach, wśród górali podhalańskich, o czym stosunkowo mało wiedzą nawet dość wykształceni ludzie („Zapomniana rewolucja", „Odrodzenie", Nr 8, 46).

Dopiero książka Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego, poświęcona całkowicie tym wydarzeniom, wydana w maju r. b., daje pełniejszy obraz tych czasów, choć i ona nie pretenduje do monografii historycznej, ponieważ autor stracił podczas wojny dużą część materiałów i opracowań poczynionych przed wrześniem 39 roku.

Książka Płomieńskiego nie należy tedy, jako pomyślana przed wojną, do publikacji okolicznościowych — i to jej nadaje pełniejszą wartość.

Od czasu „Historii ruchu rewolucyjnego w Polsce w roku 1846", opracowanej przez Bolesława Limanowskiego, a wydanej w roku 1913, oraz od czasu rozprawki Marii Steckiej pod tytułem „Edward Dembowski" (Kwartalnik historyczny, 1911) nie mieliśmy obszerniejszych badań na temat powstania krakowskiego oraz roli Dembowskiego w podziemnym ruchu irredenty polskiej tych lat. Wprawdzie kilka rozdziałów książki Płomieńskiego — to rozprawki, drukowane już przed wojną, nie umniejsza to jednak wartości dzieła, ponieważ łączą się one organicznie z całością rozważań.

Powstanie krakowskie, podjęte przez najbardziej szczerych i gorących przyjaciół ludu polskiego, a złamane bagnetami austriackimi i rękami chłopów polskich, użytych jako narzędzie przez rząd cesarsko-królewski, wywołało współcześnie szerokie echa w Polsce i całej Europie. Podobne wydarzenia powtórzyły się, niestety, w dziejach naszych jeszcze raz podczas powstania styczniowego, ale sporadyczne i na mniejszą skalę, przede wszystkim ze studentami kijowskimi, Polakami, niosącymi tak zwaną Złotą Hramotę w lud ukraiński, zamordowanymi przez chłopów, których chcieli wyzwolić spod jarzma niewoli społecznej i caratu.

Rok 1846 jest w dziejach irredenty polskiej jakby skrzyżowaniem się teoretycznych założeń płomiennych idealistów politycznych z rzeczywistością narosłego wrzodu nienawiści społecznej, zadawnionej wiekami, na tle istotnego wpływu zaborców na większość narodu, czyli chłopów.

Rok 46 tragicznie unaocznił rozbieżność między ideałami a prawdą rzeczywistości polityczno-gospodarczo-społecznej i przekonywał o konieczności samodzielnego ruchu ludowego, który jednak dopiero po kilkudziesięciu latach będzie się mógł pojawić.

Narazie zareagowała literatura polska, sprawująca już dawno „rząd dusz" w narodzie, głosami wybitnych poetów i powieściopisarzy. Słynny był pojedynek poetycki, ideologiczny, między Zygmuntem Krasińskim i Juliuszem Słowackim. Na autora „Trzech psalmów", który przewidywał rzeź jako skutek radykalizmu „Towarzystwa Demokratycznego", ostro i zjadliwie rzucił Słowacki potępienie wstecznictwa i zacofania. Kornel Ujejski objawił boleść narodu pieśnią „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie, Panie, bije ten głos"... „ale, o Panie, oni niewinni, Ty rękę karaj, nie ślepy miecz!" Ryszard Berwiński, poeta - rewolucjonista, płomienny i żarliwy, zapadnie po wydarzeniach tarnowskich w nastrój ludofobii, a Zygmunt Kaczkowski stanie się wręcz wstecznikiem i lojalistą austriackim.

Rok 46 splotem, krótkim spięciem ideałów z rzeczywistością, stał się jakby kamieniem probierczym wytrzymałości demokracji rewolucyjnej i jednocześnie nauką trzeźwości w obliczeniach sił, powolywanych do irredenty lat następnych. Ruch ludowy i robotniczy drugiej połowy XIX wieku będzie już zapuszczał mocne korzenie w warstwach zainteresowanych, nie tylko wśród garstki inteligencji, a w sztabie jego zasiądą niezadługo z głosem decydującym prawdziwi chłopi i robotnicy, obok ludzi, pochodzących z warstwy inteligenckiej.

Płomieński opisał sine ira et studio w dwóch pierwszych rozdziałach warunki polityczne, społeczne, gospodarcze i obyczajowe czasów, które nazwał epoką Edwarda Dembowskiego, widząc w jego osobie duchowego przywódcę rewolucji. Wskazał na wyjątkowość postaci tego trybuna ludu i pisarza - teoretyka, mającego swoją kartę w dziejach nauki polskiej, szczególniej w dziedzinie filozofii społecznej.

Jeżeli o Dembowskim — rewolucjoniście jeszcze coś niecoś wspomina się w podręcznikach historii, to w każdym razie o jego osiągnięciach naukowych nie informowano dotychczas zupełnie społeczeństwa, dlatego trzeba przyznać dużą zasługę Płomieńskiemu, że opracował tę postać historyczną i pod tym względem, dając także piękną i wnikliwą charakterystykę osobowości tego naprawdę wyjątkowego młodzieńca.

Przeciwstawienie Dembowskiego — Zygmuntowi Krasińskiemu, genialnemu, młodzieńczemu autorowi „Nieboskiej komedii", jako krańcowo sprzecznych osobowości ze wskazaniem na rozbieżność u Krasińskiego między słowem a czynem, a u Dembowskiego na wyjątkową wprost konsekwencję między głoszonymi hasłami a postępowaniem, wydaje się bardzo trafne i przekonywujące psychologicznie, ale nie było ono konieczne, ponieważ twórca „Irydiona" nie miał ambicji wodzostwa faktycznego, tkwiąc całkowicie w poezji.

Ciekawiej byłoby może porównać Dembowskiego z Maurycym Mochnackim lub z Joachimem Lelewelem, naukowcami i działaczami rewolucyjnymi.

Przedstawienie Dembowskiego, jako prekursora idei ludowładztwa o podłożu materialistycznym i nawet komunistycznym, nie wiadomo, czy można uważać za wystarczająco udowodnione, ponieważ materiałów, cytowanych z dzieł Dembowskiego, nie znajdujemy w książce Płomieńskiego; być może, że znajdowały się one w rękopisach, utraconych przez autora podczas pożogi wojennej; natomiast skrupulatność badawcza odnośnie osobistości Szeli i jego roli w rabacji łącznie z wypadkami pod Gdowem (wymordowanie powstańców i zabójstwo namiestnika rządu powstańczego, Wiesiołowskiego), dobitnie unaocznia, że co najmniej przedwczesne i ryzykowne jest uznawanie Szeli za świadomego, ideowego przywódcę ruchu wyzwoleńczego ludu polskiego.

Nawet jeżeli Szela posiadał jakiś program polityczny (co nie zostało dotąd udowodnione), „nie podobna go rehabilitować i wybielać, przeciwstawiając ponurej o nim legendzie szlacheckiej nową legendę ludową, stylizującą go na herosa; uczynił to przed kilkunastu laty Bruno Jasieński w poemacie p. t.: „Słowo o Jakubie Szeli", doszukując się w nim — w swojej przedmowie historiozoficznej — aż wyżyn idealizmu dziejowego i czyniąc go bohaterskim przedstawicielem sumienia dziejów" — pisze słusznie Płomieński, dodając jeszcze, że postać ta „czeka dotąd jeszcze na właściwego odkrywcę".

Było by bardzo pożądane dla prawdy historycznej i dla morale społecznego, gdyby odkrywca Dembowskiego stał się także naukowym odkrywcą postaci Szeli. Nie 46 przestałby wtedy być zagadką, wyzyskiwaną dla celów ubocznych, nie mających nic wspólnego z obiektywną wiedzą o przeszłości.

CZŁOWIEK i KSIĄŻKA

Wartościowanie tych dwu czynników, związanych ze sobą tak nierozdzielnie, jak przyczyna i skutek, i odwrotnie, jako skutek i przyczyna, posiada za sobą już olbrzymią historię w literaturach świata, od starożytności począwszy do dni dzisiejszych. U nas, z lat ostatnich wystarczy powołać się na bystre spostrzeżenia i syntezy prof. Bystronia, Muczkowskiego i in., by stwierdzić, jak wiecznie żywym jest to frapujące ludzkość od wieków zagadnienie.

Ostatnio pokusił się o ujęcie go pod specjalnym kątem widzenia młody a tęgi znawca i miłośnik książki, **Antoni Trepiński**, w formie tak nieoczekiwanej, że wywoła zapewne nie tylko zainteresowanie, ale i żywą dyskusję i polemikę. Dotknął w swej wytwornie wydanej książeczce p. t. **„Ostatki Polskie"** (Druk Anczyca i Sp., z rysunkami Edw. Głowackiego, Kraków, 1946, str. 63) jednego tylko jego aspektu, mianowicie **„tragedii książki"**, tępionej, niszczonej i palonej w ciągu tej wojny przez człowieka na równi z człowiekiem.

By wyrazić cały ogrom swego rozpaczliwego bólu nad nieobliczalnymi stratami Polski na odcinku książki i w ogóle wielowiekowego dorobku kulturalnego naszego narodu, uciekł się autor do niezgłębionych w swym bólu „Trenów" Jana z Czarnolasu, jakkolwiek w zupełnie nowoczesną, literacko-publicystyczną ujętych formę. W szeregu krótkich, lapidarnych rzutów roztrząsa zagadnienie wartości tysięcy przeciętnych istnień ludzkich w porównaniu z nieprzemijającymi przez wieki wartościami pisanych i drukowanych dzieł, zbieranych pieczołowicie przez pokolenia całe, a niszczonych od jednego zamachu, czy to przez zbrodniczą napaść bandytów hitlerowskich, czy przez lekkomyślne szaleństwo powstania warszawskiego, czy przez barbarzyństwo zdziczałego tłumu, rzucającego się w zaślepieniu na skarby kultury polskiej, jako rzekomy symbol i dowód władztwa jednej kasty, panowania nad masą uciemiężonego ludu, gromadzenia skarbów dla własnego użytku.

Ten tragiczny kontrast zbrodni i zdziczenia, lekkomyślności i szaleństwa człowieka w odniesieniu do niewinnej książki, **najtragiczniejszej ofiary wojny**, jest przedmiotem do głębi wzruszających, sercem i żółcią pisanych „trenów", „gorzkich żalów" i nie ukojonych „lamentów" Trepińskiego. Warte one wielokrotnego przeczytania i zastanowienia. Nie tylko fanatycznym jest autor bibliofilem i bibliomanem, ale i każdemu oświeconemu Polakowi, znającemu nieprzemijającą cenę książki oraz twórczą jej potęgę, stawia przed oczy **ogrom niepowetowanych już nigdy strat polskiej kultury**, z którymi zeszła na wieki do grobu — bez nadziei zmartwychwstania — olbrzymia część myśli polskiej i polskiego ducha. I w tym leży wielka zasługa małej, krwią i łzami napisanej książeczki.

Wład. Dobromilski

O PRAOJCZYŹNIE SŁOWIAN

Reaktywowane w grudniu r. ub. Towarzystwo Ludoznawcze, z siedzibą centrali w Lublinie, zainaugurowało 30 kwietnia cykl wykładów publicznych odczytem rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Tadeusza Lehr-Spławińskiego p. t. „Między Wisłą a Odrą". Znakomity uczony przedstawił w mistrzowskim skrócie popularnym, a zachowującym wszystkie zastrzeżenia naukowca — logiczny przebieg wnioskowania, opartego na żmudnych badaniach jednego z najbardziej zawiłych zagadnień naukowych, jakim jest umiejscowienie Prasłowian w czasie i przestrzeni. Materiały, którymi dzisiejsza wiedza rozporządza w tym zakresie, są dorobkiem antropologów, językoznawców i prehistoryków. Na podstawie właściwości gramatyki i słownictwa udało się ustalić pokrewieństwo wspólnego języka prasłowiańskiego z językiem prabałtyckim i związek z językiem pragermańskim, co, wskazując na przedhistoryczne sąsiedztwo Słowian z Bałtami i Germanami, pozwala uważać dorzecza Odry i Wisły za praojczyznę Słowian, gdyż miejsca siedziby tamtych ludów właśnie po obydwu stronach tej przestrzeni są już znane.

Cennych danych dostarczają nauce nazwy rzek i jezior, przejmowane zazwyczaj przez kolejno osiedlające się na danym obszarze ludy. Pomiędzy Łabą a dorzeczem Wołgi stwierdza się w nomenklaturze wielką mieszaninę. Spotykamy tu nazwy irańskie, trackie, bałtyckie, słowiańskie, germańskie, ugrofińskie. Tam, gdzie językoznawstwo nie jest jednak w stanie ani ustalić następstwa chronologicznego osiadania różnych ludów, ani wyraźnie rozgraniczyć ich geograficznie, przychodzi mu z pomocą prehistoria, badająca kopalne szczątki kultury materialnej i określająca na ich podstawie związek czasowy i przestrzenny pomiędzy pewnymi zespołami kulturowymi a odpowiadającymi im zespołami etnicznymi.

Otóż dzisiejsza nauka stwierdza w okresie ok. 2300 lat przed Chr. wielką ekspansję z obszaru Uralskiego t. zw. kultury ceramiki grzebykowej (od ornamentów odciskanych na naczyniach glinianych grzebykiem) — kultury praugrofińskiej, która sięgnęła aż po Odrę. Na jakieś 2000 lat przed Chr. następuje nowa ekspansja — najsilniejsza — tym razem t. zw. kultury sznurowej (od odciskania na naczyniach sznurka) — inwazja ludów indoeuropejskich. Wówczas ma miejsce indoeuropeizacja języka ludów zamieszkałych już na omawianej przestrzeni. Tak tworzy się mowa prabałtosłowiańska.

Rozłam językowy Prabałtów a Prasłowian dokonał się później, po ekspansji kultury łużyckiej, nazwanej tak dlatego, że pierwsze wykopaliska charakteryzujące tę epokę (ok. 1600—1300 przed Chr.) znaleziono na Łużycach. Lud, który przyniósł „kulturę łużycką" na ziemie między Odrą, Bugiem i Karpatami, był ludem rolniczym. W tym okresie odbywa się różniczkowanie się Prabałtów i Prasłowian i jako ostateczny jego wynik powstaje kultura grobów jamowych, już prasłowiańska, której kontynuacją będzie kultura wczesnych Słowian. Krystalizacja kultury prasłowiańskiej ma miejsce mniej więcej w okresie od IV w. przed Chr. do IV w. po Chr. właśnie między Odrą a Wisłą, skąd ekspanduje w kierunku Dniestru i na zachód.

Licznie zgromadzona publiczność słuchała z wielkim zainteresowaniem obiektywnych dowodzeń uczonego, które całkowicie obalają kłamliwe twierdzenia naukowców niemieckich, wywodzących Słowian z bagien nad Prypecią.

M. Bechczyc-Rudnicka

Koncert recytatorski Kazimiery Rychterówny

Podbić i porwać słuchacza potrafi artyzm recytatorski Kazimiery Rychterówny, wyznaczający jej w świecie sztuki polskiej odrębne stanowisko. Podstawę tego artyzmu stanowi wgłębienie się, wmyślenie i wczucie w utwór, we wszystkie potencjalnie zawarte w nim walory. Fenomenalne władanie olbrzymią skalą ekspresji głosowej zmierza do zaktualizowania wszystkich walorów i do przetworzenia ich w kompozycje muzyczne. Muzycznym instrumentem staje się głos artystki, rozrasta się w orkiestrę i dziwi często niespodzianością tworu, który wyłonił się z poetyckiego faktu.

Na ostatnim koncercie lubelskim, który staraniem Związku Literatów i Klubu Literackiego odbył się w niedzielę 26 maja w auli Katolickiego Uniwersytetu i w czasie którego nad upałem panującym w auli górował entuzjazm oklasków, swą niespodzianością zaimponowała „Pastorałka" Czyżewskiego. Skromny utwór przemienił się w zdumiewającą symfonię. Pełne ożycie każdego zdania, każdego słowa, wspartego nadto gestem i mimiką, i zrośnięcie się słów w organizm swoisty tryumfowało w humorze i w ludowej charakterystyczności, gdy bawił swą opowieścią o Adamie i Ewie Sadownik Zegadłowiczowski.

Nie mniej świetnie wypadła groteska i powaga w „Legendzie o św. Jerzym" Kasprowicza i rokokowa igraszka w „Markizie" Makuszyńskiego. Niesamowite wprost wirtuozostwo wydobyło niesamowitą fantastykę „Świdrygi i Midrygi" Leśmiana.

Maksymalizm ekspresji i muzyczności mógłby się stać przedmiotem dyskusji, gdy idzie o słowo Mickiewicza; słuchacze dzisiejsi może bardziej czuliby się przekonani przez zbliżenie go do słowa zwykłego, mówionego; i może woleliby większą płynność tempa w wierszu Słowackiego, od dźwiękowego uwypuklenia elementów.

Ale zamilknie dyskusja wobec utworów, w których wybucha dynamizm. Dynamika rozmachu wojennego i tragedii wojennej zyskała wyraz niezrównany. Porywało uwielbienie polskiej, zwycięskiej „Eskadry Trzysta Trzy", przerażały (w wierszu Świnarskiego „zmory niemieckich miast, zmory niemieckiej słów": Mathausen, Oranienburg, Dachau. Współprzeżywanie wstrząsających momentów przez artystkę i publiczność osiągało szczyt w tej części koncertu, a podziw dla pogodnego wirtuozostwa popisu muzyki i tempa towarzyszył Tuwimowej „Lokomotywie".

Finałem było wygłoszenie wspaniałej sceny z „Quo Vadis", sceny zapasów Ursusa z turem, wielokrotnie w całej Polsce podziwianej przez słuchaczy Kazimiery Rychterówny w czasach przedwojennych.

Dr J. Kleiner

Z Teatrów Krakowskich

„PASAŻER BEZ BAGAŻU"

Wystawiona obecnie w Starym Teatrze w Krakowie sztuka młodego pisarza francuskiego, Bretończyka Anouilh'a „Pasażer bez bagażu" (wielki sukces paryskiego teatru „Mathurins" Pitoeffa w r. 1937) jest właściwie wariantem, nową, o wiele zresztą zręczniejszą i głębszą psychologicznie wersją tematu, opracowanego w poprzedniej sztuce tegoż autora „Był sobie więzień" (sztukę tę wystawił również Teatr Narodowy w Warszawie na parę lat przed wojną). I tutaj mamy powrót do utraconego na dłuższy czas świata, do kraju młodości, rozdźwięk pomiędzy wyobrażeniem— marzeniem a przykrą rzeczywistością i wreszcie bunt na skutek starcia oczyszczonej wewnętrznie natury z brudem dawnego życia. Tytułową postacią „Więźnia" jest pewien finansista, odcięty od świata przez 15-letni pobyt w bardzo surowym więzieniu. Bohaterem ostatniej sztuki Anouilh'a jest żołnierz pierwszej wojny światowej, który na skutek kontuzji na froncie utracił pamięć. Przez 18 lat wegetował on nędznie w szpitalu, nie wiedząc nic o swojej przeszłości przed tragicznym wypadkiem, nikogo nie rozpoznając wśród korowodu osób, które się przed jego oczyma przesuwały, poszukując zaginionego męża, syna czy brata. Sprawa się stała bowiem głośna. I oto widzimy tego człowieka „bez nazwiska" wśród członków rodziny, która miała najwięcej danych, że on do nich należy, chociaż przez 18 lat choroby pod względem fizycznym zmienił się bardzo. Oczekiwalibyśmy teraz, że ów Gaston wśród tych twarzy, wśród pamiątek swego domniemanego dzieciństka, zacznie sobie coś przypominać, kojarzyć z trudem w swej świadomości jakieś echa, jakieś reminiscencje. Na tego rodzaju tle można by osnuć interesujący motyw dramatyczny. Anouilh poszedł jednak inną drogą. Gaston nie przypomina sobie dosłownie niczego, z przerażeniem natomiast konfrontuje to, co o swej własnej młodości słyszy, z tym, co sobie wyobrażał, za czym tęsknił. Ów Jakub Renaud, zaginiony przed 18 laty na wojnie, był chłopcem złym, miał na sumieniu wiele rzeczy brzydkich, noce spędzał na hulankach, sfałszował weksle, uwiódł nieletnią służącą i żonę swojego brata, w ordynarnej bójce przyprawił o kalectwo najbliższego przyjaciela. I oto echa przeszłości wróciły. Bratowa pragnie kontynuować brzydki romans, matka okazuje się tą samą zawziętą, zimną istotą, która pozwoliła przed laty poróżnionemu z nią synowi iść na wojnę bez pożegnania. Ogólnie biorąc, cała odnaleziona rodzina chce wciągnąć Gastona-Jakuba w bagno swej przeciętności. Jest on jednak już zupełnie innym człowiekiem. Burza, która zniszczyła jego pamięć, dała mu pogodę ducha, spokój wewnętrzny, tęsknotę za tym, co piękne i dobre. Cała przeszłość wydaje się mu równie wstrętna, jak większość zupełnie obcych ludzi, wśród których się znalazł. Zdobywszy pewność, że jest istotnie Jakubem Renaud, postanawia tę przeszłość zniszczyć, pozostać człowiekiem bez nazwiska, pasażerem bez krępującego bagażu. Zakończenie sztuki przynosi jednak niespodziewany zwrot. Nawinęła się jeszcze jedna rodzina, do której Gaston mógł się oficjalnie przyznać, bez obawy, że koszmarne cienie przeszłości będą mu towarzyszyły krok w krok. Rodzina ta składała się tylko z jednego chłopczyka, którego wszyscy krewniacy zginęli w katastrofie okrętowej. Adwokat nieletniego spadkobiercy naturalnie odrazu się zgodził na dyskretne minięcie z prawdą (Gaston posiadał pokaźną rentę inwalidzką, która wraz z procentami urosła do rozmiarów poważnego kapitaliku). Jedyna osoba spośród rodziny Renaud, która znała tę prawdę, musiała milczeć z obawy przed t. zw. skandalem towarzyskim.

Zagadnienie zaniku pamięci i wynikających stąd konsekwencji rozwinął już w jednej ze swoich sztuk Pirandello, poza tym zaś również Giraudoux w dramacie p. t. „Zygfryd". Ma on zabarwienie społeczno-polityczne. Tytułowy bohater sztuki, to niemiecki dyktator totalista, który początkowo nie wie, że przed utratą pamięci był... Francuzem. Tło u Anouilh'a jest odmienne. Widzimy tutaj tę typową rodzinę średniej burżuazji francuskiej, dobrze nam znanej, chociażby z powieści Mauriaca, czy też dramatu Chappuis „Nieboszczyk Pan Pik". Omal że klimat „Kłębowiska żmij". Naturalizm, potraktowany jednak z francuską lekkością i z niezmiernie precyzyjną analizą psychologiczną. Ustawiczne przecinanie się dwóch płaszczyzn, przeszłości i teraźniejszości, rozgrodzonych absolutną taflą mroku, daje kapitalne efekty dramatyczne, trzyma uwagę widza w ciągłym napięciu. Problem moralny odrodzenia się na skutek przebytej katastrofy i wynikający stąd konflikt z własną przeszłością ma zaś wydźwięk nader aktualny. Przypomina się nawet tutaj ów „nowy człowiek zrodzony z bólu", bohater dramatu Jerzego Zawieyskiego „Mąż doskonały", symbolicznej opowieści o biblijnym Hiobie, którego dzieje stały się w skrócie historią całego świata.

Nie trzeba jednak aż tak daleko szukać. Któż bowiem z nas, wróciwszy do normalnego życia po okresie sześciu lat okupacyjnej i wojennej grozy, nie robił rozrachunku z własną przeszłością, która z obecnego punktu widzenia zarysować się może zgoła w odmiennym świetle. W każdym razie świetny pisarz francuski okazał nie tylko dar wnikliwej analizy psychologicznej, umiejętność kreślenia postaci i stawiania problemów, lecz również — pisząc sztukę przed ostatnią, najstraszliwszą w dziejach ludzkości wojną — jak gdyby przeczuł konflikty, które miało przeżyć całe nasze współczesne pokolenie. Jednym słowem „Pasażer bez bagażu", to sztuka wysokiej klasy, inteligentna, głęboko etyczna, poza drobnymi usterkami technicznymi w III akcie — świetnie napisana.

W Krakowie zaś została również świetnie — zagrana. Reżyser Warnecki nadał jej właściwe tempo, rytm i styl bez zbędnych nadbudówek i efektów zewnętrznych, równocześnie zaś w tytułowej roli stworzył jedną ze swoich najlepszych kreacji. Był dyskretnie opanowany, bardzo przy tym wyrazisty, wzruszający głębią wewnętrznej rozterki i niepokojem poszukiwania prawdy. Bardzo szczery i ludzki. Była to przy tym rola ściśle dramatyczna. Idąc krok w krok za Gastonem - Jakubem, mogliśmy obserwować dokonywujące się w nim przemiany.

Maria Dulęba, niezapomniana jako Pani Pik w sztuce Chappuis, tym razem zagrała rolę zupełnie innego typu, właściwie szeroko rozbudowany epizod księżnej Dupont-Dufort, która pilotuje chorego Gastona, szukając dlań najstosowniejszej familii. Jest to trochę dziwaczka, trochę filantropka, amatorka sensacyjnych wrażeń. Z postaci tej stworzyła Dulęba kapitalny typ, niesłychanie zabawny, konsekwentny w każdym ruchu, geście, intonacji głosu i aparycji zewnętrznej, łączący w sobie posuniętą aż do groteski egzaltację z wielkoświatową grandezzą, a nawet swoistym wdziękiem. Wzorowo opracowali również swoje role i pozostali wykonawcy — Zahorska, Martynowska, Kossocka, Ciecierski, Loedl, Fulde i in.,

Zygmunt Leśnodorski

NOWE WYDAWNICTWA DLA CHÓRÓW AMATORSKICH

Biblioteka Ludowego Instytutu Muzycznego z Centralą w Łodzi wydała 3 śpiewniki do dyspozycji chórów amatorskich.

Pierwszy śpiewnik, wydany w r. 1945, mieści w sobie 31 pieśni z uwzględnieniem narodowych, artystycznych, partyzanckich i ludowych melodii w układzie Józefa Lasockiego na jeden i dwa głosy równe.

Jest to pierwszy śpiewnik, który ukazał się po wojnie, by przyjść z pomocą nowozawiązanym zespołom chóralnym podczas świąt i uroczystości narodowych. W śpiewniku pośród innych pieśni znajduje się Hymn Państwowy (tonacja za wysoka), „Pieśń Wiciowa" i „Hymn Spółdzielców".

Drugi śpiewnik, wydany w r. 1946, w opracowaniu Karola Mroszczyka p. t. **10 pieśni ludowych** na 4-głosowy chór mieszany posiada na ogół pieśni mniej znane. Układ harmoniczny tych pieśni jest łatwy, ciekawy i dość urozmaicony.

Więcej wkładu pracy ze strony dyrygenta i śpiewaków wymagać będą pieśni: „Jabłoneczka", „Rybki" i „Pirso godzina".

Trzeci śpiewnik, wydany w r. 1946, w opracwaniu Józefa Lasockiego p. t. **10 pieśni ludowych** na chór 4-głosowy mieszany, mieści w sobie pieśni ludowe znane i kilka mniej znanych oraz „Pieśń Wiciową". Opracowanie jest łatwe, przystępne i bardziej artystyczne.

Józef Swatoń

MIESIĘCZNIK „WIEDZA I ŻYCIE"

Ukazał się zeszyt 1-szy miesięcznika „Wiedza i Życie".

Czołowe miejsce zajmuje artykuł Stefana Czarnowskiego — „O nowopowstającej kulturze proletariackiej". Zasadnicze i charakterystyczne cechy tej kultury, pochodzenie ich i interpretacja potraktowane są ze zwykłą temu uczonemu wnikliwością, głębią i powagą.

Drugi z rzędu artykuł pióra Dra H. Jabłońskiego będzie napewno dla szerszego ogółu czytelników pewnego rodzaju rewelacją. Uświadamia nas bowiem w rzadko dostrzeganym aspekcie insurekcji Kościuszkowskiej: przypomina i obrazuje rolę proletariatu Warszawy w powstaniu 1794 roku.

Oświetlenie zagadnień bieżących znajdzie czytelnik w artykułach T. Głowackiego, J. Hozera i E. Porębskiego.

Miłośnicy sztuk plastycznych znajdą pożyteczną i piękną lekturę w pracach: W. Husarskiego — o sztuce proletariatu z pierwszych wieków chrześcijaństwa i w zapowiedzianych przez redakcję miesięcznika cyklu artykułów N. Samatyhowej o tym, jak patrzeć i rozumieć dzieła sztuki.

Samodzielną część pisma stanowi szereg przyczynków z dziedziny nauk przyrodniczych.

Obszerny zeszyt miesięcznika zamyka się kroniką działalności Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Z WYSTAW KRAKOWSKICH

Dodatkiem do wystawy Boznańskiej były wystawy prac Eugeniusza Gepperta i grafik Tadeusza Cieślewskiego (syna). Akwarele Gepperta mają w sobie wiele walorów kompozycyjnych, a wizję oddają w kolorach czystych, radosnych i bogatych. Artysta z całą świadomością podkreśla swój rodowód od malarstwa Michałowskiego, mieniąc go swym mistrzem i wzorem. Koń i jeździec są jego pasją, więcej tylko wyczuwa się sentymentu do nich aniżeli u Michałowskiego, który jak na wielkiego artystę przystało, potrafił obiektywizować swoje skłonności witalistycznej natury. Obiektywizował je w sposób wizjonerski, tym dalej więc odsuwał się od demonstrowania li tylko świata konia i jeźdźca. U Gepperta jest wiele ukontentowania płynącego z widoku kłusujących bloków kawalerii, z rytmu jeździeckiej brawury. Wszystko to jednak ma dużo indywidualnego wyrazu i jest ciekawym objawem nieustannego snucia się rycerskiego wątku w naszej plastyce.

Tadeusz Cieślewski, zgasły przedwcześnie w czasie wojny, był niewątpliwie jednym z wybitniejszych naszych grafików. Doskonała szkoła, z jaką zapoznał się w murach Warszawskiej Akademii, dała mu żelazne podstawy rzemiosła, poczucie kompozycyj i rzeczowość w traktowaniu pomysłu. Tematycznie jest on związany ze starymi murami Warszawy. Kamienne schodki, wąskie uliczki Starego Miasta, Rynek — wszystko to znalazło w Tadeuszu Cieślewskim jednego z tych artystów, którzy je przekazali w swej wizji potomnym przed ostateczną zagładą. Drzeworyt Cieślewskiego jest prosty, o dużej skali światła i cienia, kreska może sztywna, ale niepozbawiona wdzięku, duże poczucie bryły przedstawianej architektury przy silnym podkreślaniu pewnej nastrojowości. Pracom Cieślewskiego należałoby poświęcić więcej miejsca, nad zamkniętą już twórczością tego artysty, tak związanego z Warszawą postawić syntetyczniejszy sąd.

Wystawie Pankiewicza towarzyszyły natomiast wystawy: grafitu zastrzelonego przez gestapo na ulicach Tarnowa w 1941 r. Alojzego Majchra i obrazów Jana Książka. Obaj artyści to wychowankowie Krakowskiej Akademii, w atmosferze artystycznego życia Krakowa uformowani jako artyści.

Alojzy Majcher wypowiadał się całkowicie w grafice przy jej pośrednictwie dając wyraz całej swej wrażliwości na widzialny świat i bogactwo życia. Tematy: motyw Chrystusa, świat dziecięcy, chłopski, robotniczy, życie wsi, życie miasta, bujne życie kawiarń, poczekalni, widoki kolejek, orkiestr, koncertów. Dużo skłonności do charakterystyki postaci ludzkich. A wszystko to bogatymi środkami techniki graficznej o wyrazie linii kolorystycznej. Majcher bowiem maluje czarno-białą gamą uprawiając przeróżne rodzaje techniki graficznej. Lubuje się w kontrastach, jest nieco popędliwy, a nawet nieraz traci umiar w ekspresjonistycznym ujęciu swych prac. Jest bardzo bezpośredni za to, nie goni za spokojem, co za tym idzie za stylem — czymś już przez samego siebie skodyfikowanym. Wybitnie się w tym różni od wielu naszych koryfeuszy współczesnej grafiki.

Obrazy Jana Książka to przede wszystkim bardzo ujmujące kwiaty i pejzaże, szczególnie te pierwsze. Malowane w dużej części techniką szkoły impresjonistycznej są pełne miłej atmosfery, delikatnej i wdzięcznej. Książek jest kolorystą o ambicjach artysty, chociaż jego prace nie zawsze reprezentują równy poziom. Są tam jednak i pozycje o niewątpliwej wartości osiągnięć.

S. F.

ŻYCIE NAUKI

4 numer **„Życia Nauki"** przynosi artykuł D. Szymkiewicza o konieczności lepszego finansowania twórczości naukowej i artystycznej, trzy doskonałe uzupełniające się artykuły A. Listowskiego „O pracy zespołowej w nauce", J. Rutkowskiego „Prace zespołowe i instynkty badawcze w naukach humanistycznych" i K. Sembrata „Poprawa warunków pracy naukowej w szkolnictwie wyższym". Wszyscy trzej autorzy, ujmując inne aspekty tego samego zagadnienia, wykazują wartość pracy zespołowej w nauce i konieczność tworzenia instynktów badawczych, łączących pokrewne dziedziny nauki. M. Choynowski pisze o opanowaniu energii atomowej jako wydarzeniu przełomowym w drogach cywilizacji i wskazuje konieczność stworzenia rządu centralnego świata i nadania nowego kierunku wychowaniu człowieka. H. Świdziński omawia doniosłą rolę geologii w życiu gospodarczym kraju, a J. Mergentaler ogłasza „Parę uwag o wydawaniu prac naukowych w Polsce". W korespondencji rektor Akademii Nauk Politycznych Edmund Jan Reyman występuje z projektem utworzenia Instytutu Szerzenia Kultury Etycznej, godnym niewątpliwie jak największego poparcia.

Kronikę krajową wypełnia omówienie życia naukowego nowego naszego miasta uniwersyteckiego — Torunia, pióra K. Górskiego, obszerne sprawozdania z kilku zjazdów i konferencji, odbytych w ostatnich miesiącach, Akta ustawodawcze i Naukoznawczy przegląd prasy. Kronika zagraniczna, trzykrotnie bogatsza niż w poprzednim numerze, przynosi szereg interesujących wiadomości o wydawnictwach, instytucjach naukowych i ważniejszych wydarzeniach życia nauki w Anglii, Francji, ZSRR i Stanach Zjednoczonych.

„Życie Nauki" można nabywać w księgarniach, a prenumeratę zamawiać w administracji pisma (Kraków, Piłsudskiego 13 m. 2). Cena numeru (88 stron) zł 30, prenumerata kwartalna zł 75.

Adres redakcji: Kraków, Szopena 1 m. 7.

ZAWIESZENIE UMÓW WYDAWNICZYCH

Celem zaspokojenia w dziedzinie wydawniczej najpilniejszych potrzeb kulturalnych społeczeństwa, spowodowanych wyniszczeniem w czasie wojny książki polskiej, Rada Ministrów — na wniosek Ministerstwa Kultury i Sztuki — uchwaliła w dniu 28.III r. b. dekret o zawieszeniu niektórych umów wydawniczych w dziedzinie literatury, a mianowicie umów i uprawnień do wykonania drukiem dzieł 12 zmarłych już, wybitnych pisarzy polskich: Adolfa Dygasińskiego, T.T. Jeża, Marii Konopnickiej, Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa, Władysława Reymonta, Henryka Sienkiewicza, Andrzeja Struga, St. Witkiewicza (ojca), Stanisława Wyspiańskiego, Gabrieli Zapolskiej i Stefana Żeromskiego.

Dzieła tych autorów będzie można wydawać drukiem dopiero po otrzymaniu specjalnego zezwolenia Ministra Kultury i Sztuki, który będzie udzielać takiego zezwolenia tylko osobom mającym kwalifikacje wydawnicze, po zasięgnięciu opinii specjalnej Komisji i pod warunkiem zastosowania się ich do ustalonych przepisami wytycznych.

W skład Komisji opiniującej wejdą przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty oraz Ministerstwa Informacji i Propagandy, a nadto powołani przez Ministra Kultury i Sztuki przedstawiciele czynnika fachowego (literatów, wydawców, drukarzy) i społecznego.

Honoraria autorskie przypadną na rzecz upoważnionych do dziedziczenia krewnych zmarłego autora (z pewnymi ograniczeniami), a w braku tych osób będą przekazywane przez Ministra Kultury i Sztuki na cele popierania twórczości literackiej.

Odpowiedzi Redakcji:

M. K. w Krośnie — Niestety, jeszcze nie do druku.

A. D. S. w Dębicy — Jeszcze surowe. Adres J. Swatonia: Warszawa — Minist. Kultury i Sztuki — Depart. Muzyki.

S. M. O. w Zakopanem — Dziękujemy za nadesłany materiał. Część wykorzystamy.

St. K. w Janowie Podl. — Wiersz: „Bez tytułu" lepszy i ciekawszy. „Deszcz i kwiaty" b. słabe.

G. Z. w Sopotach — Recenzja ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Zdroju".

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Od 1 lipca 1946 prenumerata: kwartalnie 60 zł, miesięcznie 20 zł. Numer pojed. 10 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje: FRANCISZEK TWARDOŃ.

Zakł.Graf. J.Pietrzykowski, Lublin, Kościuszki 4 A-6774